





10065723

PŁATA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.

Manakop

MILACHE

Nr. 528.

Zaprenumerować naszą bibliotekę można za pośrednictwem każdej księgarni po oryginalnej cenie.

BIBLIOTEKA POWIEŚCIOWA

REDAKTOR MARJAN KISTER

Za 5 zł. 95 gr.

otrzyma prenumerator wraz z przesyłką do domu

6 powieściowych

- | | |
|-----------------------------------|----------------|
| 1) Laurids Bruun | |
| Bliznięta | 1.95 |
| 2) S. K. Chesterton | |
| Grzechy księżki Saradine . | 1.95 |
| 3) R. Haggard | |
| Elissa | 2.50 |
| 4) Opowiadania pol. ameryk. | 1.95 |
| 5) W. Katajew | |
| Defraudanci | 1.95 |
| 6) M. Larrouy | |
| Syreny i Trytony | 1.95 |

Razem 12.25

6 historyczno-geograficznych

- | | |
|--|------|
| Gen. Wejtko | |
| Zdrada ppłk. Grimma . . | 0.30 |
| St. Stumph-Wojtkiewicz | |
| Orzeł Morski | 0.30 |
| Jan Feldman | |
| Księżka i Porucznik . . . | 0.30 |
| Borys Sawinkow | |
| Jak zabiliśmy ministra Piehwego | 0.30 |
| W. Melcer-Rutkowska | |
| Truciele i trucieli . . . | 0.30 |
| M e b Niebieskie | |
| ptaki XX wieku | 0.30 |

Razem 1.80

Razem 12 książek o cenie księgarskiej

14 zł. 05 gr.

W ten sposób chcemy zmusić publiczność do czytania

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”
WARSZAWA, ULICA KREDYTOWA Nr. 1.
KONTO P. K. O. 9880

ALBERTHO GHIRALDO.

„MILACHE”

Opowiadania **10** pol.-amerykańskich autorów

przełożył
TADEUSZ JAKUBOWICZ.

W A R S Z A W A — 1928

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

ALBERTO GHIRALDO — współczesny powieściopisarz, dramaturg i krytyk argentyński.

Napisał: „La Columna de Fuego” („Ognista kolumna”); „Los nuevos caminos” („Nowe drogi”); „El peregrino curioso” („Ciekawy pielgrzym”); „Carne doliente” („Bolesne ciało”); „Tronfos nuevos” („Nowe triumfy”) etc.



82-11-9

3044

/c

I.

Tam, na pograniczu pampy, skończyły się ostatnie walki przeciwko Indjanom, śmiałym i wolnym. Dzielni kacykowie, bohaterskie symbole wspaniałej rasy, dopadli na zawsze swych bojowych rumaków, przekładając śmierć - zbawicielkę nad haniebną niewolę, jaką niósł zdobywca chrześcijański. Wojsko argentyńskie, upojone triumfem tej epopei, nazbyt się już przewlekającej, bądź zdecydowane dobić nieprzyjaciela, całkowicie nieprzejednanego, postanowiło zatopić go we krwi na wieczną naukę dla opornych i rebeliantów. I stało się, że jakgdyby purpurą słońca zabarwiły się wody na polach, a na pagórkach zostały bielejące kości tubylczych ludów, klanów, przyniesionych na ofiarę, — mierzwa niezastąpiona i szlachetna dla własnej gleby, przyszłe nasienie innych ras, równie egoistycznych, co okrutnych, które rozbijają no-

we siedziby pokoju i miłości na ziemi, tak strasznie doświadczonej...

Ognisty huragan zmiotł wszystko. Ponad obszernem pobojuwiskiem, bezkresną pustynią amerykańską, unosił się, rzekłbyś, obłok gorącej jeszcze krwi ostatniego ze zwyciężonych. Ni rannych, ni kalek. Wszyscy zginęli! Na bezmiernej równinie nie znalazłbyś ani jednego wojownika, ani jednej włóczni, ani jednego męża, któryby mógł dźwignąć broń. Tragiczne hasło wypełniło się w sposób straszliwy i ostateczny.

Oto tam, na skraju skrwawionych pampasów, zaczął rosnąć, pełen trwogi wobec konkwistadorów, bolesny cień, masa, powstała z kobiet i dzieci nieustraszonych wojowników.

— Co czynić? — rzekli zdobywcy. I myśl przenikliwa, pomysł równie humanitarny, co szatański, zjawił się w mózgach, gdzie sława, zda się, rzuciła już swój powiew. Tak, bolesny cień będzie ozdoba zdumiewającego zwycięstwa: kobiety i dzieci nieustraszonych wojowników, poległych w imię swego żelaznego prawa, staną się ofiarą, którą złożą oni, cywilizowani zwycięzcy dzikusów, pogromcy pustyni, na ołtarzu miast, pełnych światłości, łagodnej i oczyszczającej.

Żywa ofiara, ciało drgające na męczeńskim stole boleści, świadectwo nieodparte i wieczyste bohaterstwa, nie mającego sobie równego.

I — niewola ogarnęła cień...

II.

Gdy jeńców otoczono ze wszystkich stron, cień zaczął się poruszać, bolesny cień, masa, utworzoną z kobiet i dzieci nieustraszonych wojowników. Eskortowana przez bagnety zwycięzców, ruszyła przez pampasy, dzikie i podbite, w kierunku szczęśliwych miast.

I oto dąży triumfalny pochód. Idą matki biedne, a u ich boku dzieci, zrodzone z miłości. To nie płomień nienawiści tryska im z oczu. Rozpalone goryczą mówią, że otwarło się źródło łez, aby płynąć już niepowstrzymanie przez świat. A słońce wysusza im wciąż ciała i dusze. Idą jak na torturę. Idą, bowiem są matkami. Gdyby łona ich próżne były płodów — to samo wspaniałe słońce, które oświecało wczoraj wolne pampasy, a dziś, zda się, lży je złocistymi blaski, ujrzałoby, jak się rzucają, szalone z gniewu i pijane zemstą, na lśniące bagnety.

I oto dąży triumfalny pochód. Idą synowie, dorodni potomkowie męskiej rasy. Pełni są przerażenia w obliczu klęski, a na twarzach zastygł jakiś nieokreślony grymas. Maski grozy tworzą szczególny kontrast z niewinnym uśmiechem młodocianych siostrzycek i ze świeżym wdziękiem zadowolenia maleńkich braciszków przy piersi. Idą synowie, kroczą zwarcia, stłoczeni, rzekłbyś, spojeni z ciałem matek, jakgdyby zdjęte lękiem potomstwo pragnęło powrócić do pnia, który je wydał, a owoc, strwożony przed życiem — do żywota, co go począł.

Oto dociera bolesny cień do peronów stacyj ko-

lejowych, wczoraj jeszcze — fortów przeciwko Indjanom, gdzie dymiąca lokomotywa czeka na cenny ładunek, sławną zdobycz, żywą i drgającą daninę dla miast, już spokojnych i próżnych trwogi przed niszczącą wyprawą i odwetem...

III.

Pędziły pociągi, pożerając przestrzeń, ciągnąc wagony, pełne żywej daniny. Nie były to resztki rasy, dotkniętej ruiną. Był to sam rdzeń rasy, złożony z kobiet i dzieci, zniewolony przez chrześcijańskiego pogromcę Indjan. Ze skraju pampasów ruszyły pociągi ku wielkiemu miastu. Bolesna masa, zamknięta, zelżona i zgębiona, przemierzała teraz w fantastycznej podróży swoją Kalwarię. Indjanki - matki, pogębione cierpieniem, w gorączce i bezprzytomne, jedno chyliły swe kształtne głowy ku maleństwom przy piersiach, nieomal już wyschniętych, podczas gdy inne, oparłszy czoło o szybę wagonu, trwały w jakimś zapamiętaniu, tonąc nieruchomym wzrokiem w dalekich zarysach ukochanej ziemi, gdzie zostały na zawsze groźne jeszcze trupy wojowników. Na stacjach przydrożnych pociągi stawały i wówczas rozpoczynał się podział cennego łupu, daniny, złożonej szczęśliwym miastom przez zdobywcę pustyni.

Niby było na targowisku wybierano jeńców. Każda zamożniejsza rodzina miała prawo do matki wraz z dzieckiem. Gdy ich odłączano od grupy, Indjanki głucho szemrały. O, złowrogi losie! Nigdy sroższy ból nie rozdzierał piersi ludzkich, ani też nigdy

jęk podbitej rasy nie wybiegł ku twardszym piersiom. Na stacji Mercedes, jakaś piękna pani przywabiła gestem aż ku stopniom powozu Indjaniątka, sympatyczne i żwawe. Nie chciała brać matki, bo jej nie potrzebowała. Gdy pociąg ruszył z miejsca, zręcznym ruchem oderwała Indjaniątka od stopnia i ukryła je pośród fałd. Pociąg, beznamiętny i zdradliwy, odjechał z matką. Potem, w biegnącym pociągu rozległ się szloch matki, matki, która traci syna. A na stacji pozostała sympatyczna twarzyczka, teraz bezmiernie przerażona, i — śmiech Argentynki, zadowolonej z wybiegu...

I ta pani też była matką. Łono jej nie było bezpłodnem, a również i dla jej odkupienia na ziemi spłynęła kropla krwi męczeńskiej na Golgocie!

IV.

Zaczęły płynąć dla Indjaniątka dni smutne i beznadziejne. Młodociany potomek nieugiętej rasy nie uzewnętrzniał zbyt wiele cierpienia swej duszy dziecięcej, okrutnie rozdartej. Lecz na dnie jego oczu, pełnych przerażenia, tało się coś szczególnego, uderzając boleśnie najmniej nawet subtelnego obserwatora. Jedynie tylko niefrasobliwość pięknej pani mogła go umieścić na poziomie moralnym pospolitego zwierzątka domowego. W rzeczywistości jedyną rzeczą, która musiała ją zdziwić było to, że nie kąsał. Istotnie, ani szczypanie, ani targanie za uszy, ani szturchanie, jakimi obdarzał go codziennie młody tyran, syn

pięknej pani, nie zdołały wywołać w nim buntu. Znosił z rezygnacją okrutne traktowanie, jakgdyby przeświadczony o bezskuteczności protestu. Owładnęło nim, zda się, poczucie fatalizmu, nie trwoga bowiem była tego przyczyną, jak świadczyła pogodna niezmiennie postawa w obliczu rzeczywistego niebezpieczeństwa.

Młodociany tyran, najstarsze i rozpieszczone dziecko pani domu, przyjął ofiarowany sobie upominek tak, jak gdyby to był duży pies, który nie szczeka i nie ugryzie, kot, co nie udrapie, albo młode tygrysa, pozbawione pazurów i dzikości. Jest rzeczą jasną, że w tej duszy, spaczonej przez wychowanie tak fałszywe, jakie mogła mu dać piękna pani, jego mamusia, nie mogły powstać w stosunku do Indjaniątka uczucia humanitarne, ani braterskie. Przyjął chłopca, jak rzecz całkowicie swoją, otrzymaną w upominku, którą mógł i powinien rozporządzać wedle kaprysu. Rzecz, przeznaczoną jedynie ku jego przyjemności. Nie mógł przeto zrozumieć, że ten chłopiec, należący do innej rasy, był równy w prawach, że radował się swoją radością i cierpiał swoim cierpieniem, bowiem uczucie i prawda muszą być całkiem obce dzieciom, wychowanym przez tak szczególne osoby, jak piękna pani, jego mamusia.

V.

Któregoś dnia zapytano go w miasteczku:
— Jak się nazywasz?

Sucho, tonem ostrym odparł:

— *Milache*.

— *Milache?* Dlaczego *Milache?*

W domu nazwano go od pierwszego dnia Kamilem i aż do tej chwili znany był pod tem imieniem; odtąd jednak uległo ono zmianie.

Czy *Milache* był zniekształceniem Kamila, lub też imieniem prawdziwym, pod jakim znano go w klanie? Faktem jest, że nikt nie dowiedział się nigdy pochodzenia dziwnego wyrazu, który w krótkim czasie stał się popularny w miasteczku.

Ale co było znane, choć nie dociekano, to bezwzględne traktowanie, posunięte aż do okrucieństwa, *Milacha* przez małego kata, jego pana.

Nikt jednak, w istocie rzeczy, nie przywiązywał do tego wielkiej wagi. Nikt nie widział, że biedny *Milache*, zrezygnowany, był naprawdę bolesnym symbolem podbitej rasy. Przeciwnie, ten i ów chwalił wdzięk małego okrutnika, podniecając jego przewrotne instynkty.

A tymczasem boleść *Milacha* była bólem wszystkich dzieci tubylczych w niewoli chrześcijańskiej. A tymczasem istniało cierpienie matek, nieszczęśliwszych jeszcze od matki tej młodocianej ofiary. Wraz z swem potomstwem padały one pod brzemieniem wyczerpania, wytaczając z siebie dla ciemniców krople potu, zamknięte w piwnicach przeklętych miast, jak schwyte orlice, bijące skrzydłami o żelaza klatek, próżnych powietrza i światła.

VI.

Dni *Milacha*, jak i wszystkich innych z jego rasy, były policzone. Bezlitosne fatum czuwa nad potomkami wojowników, czekając tylko chwili sposobnej do zagłady. Nikt nie znajdzie pardonu. Zbrodnia oporu przeciwko zwycięzcy musi być okupiona śmiercią ostatniego z żyjących. Płód, poczęty niedawno w łonie matek, uschnie, i wstrzymany będzie rozwój dzieci żyjących, zagrożonych miazmatami przeklętych miast. Ostatnia i bolesna godzina całej tej rasy, odysea, godna płomiennego słowa starożytnych proroków, oglądana przez odkupionego chrześcijanina z męstwem, graniczącym z pierwotnością bezczucia moralnego! Ktoś powiedział, że nikt nie odczuwa bólu poza swem własnem cierpieniem.

Pewnego dnia, a był to najpiękniejszy dzień gorącego lata, wybuchnął *Milache* protestem, tak w nim niezwykłym. Prawdopodobnie pan jego przebrał miarę swych codziennych kar, a ogniste słońce, niby ostrze kłujące, obudziło w chłopcu indyjskim instynkty przodków.

Zanim jeszcze spadł pierwszy groźny cios, *Milache*, przyjąwszy szybko obronną pozycję, rozwarł dłoń nakształt szponów i schwycił ramię nieprzyjacielskie z taką siłą, że ustąpiło w swym karzącym zamiarze, i zwyciężone ugięło się pod niespodziewanym naciskiem.

Nagły opór czynny Indjaniątka pobudził gniew chłopca, i ostry krzyk, jaki się wydarł z jego gardła,

drgającego wzruszeniem i strachem, poruszył służbę domową. Przybyto mu z pomocą.

Wówczas z ust jego padł rozkaz kategoryczny:

— Wiążcie go!

I wskazał ławkę, gdzie go sam nieraz własnoręcznie dręczył.

Służba spełniła rozkaz i związała chłopca tym samym sznurem, który służył za lejce, gdy młody oprawca zamieniał go w konia.

Po odejściu służących, chrześcijański chłopiec chwycił kańczug, z którym się nie rozstawał nigdy od chwili, gdy go otrzymał i zawołał groźnie:

— Teraz mi zapłacisz!

I, purpurowy z gniewu, uderzył twardym rzemieniem twarz swej ofiary.

Oczy Indjanina zabłyśły oburzeniem i bezsilnym gniewem. Po raz drugi świsnął w powietrzu rzemieenny pejcz. Biedny *Milache*! Wściekłość go dusiła. Nie zdołał się powstrzymać i pijany bólem, nieprzytomny z bólu, wypluł swą pogardę w twarz wroga-chrześcijanina. Był to jego wyrok.

— Teraz cię podpalę! — syknął biały chłopiec. I, oblawszy naftą kilka starych gazet, zapalił stos.

Kiedy ogniste języki ogarnęły *Milacha*, ciało jego zaczęło drgać, a wyraz bólesci napęlił przerażeniem chrześcijanina w obliczu własnego dzieła.

Krzyknął i służba przybiegła znowu, myśląc, że *Milache* rozerwał więzy, sprawiając swemu panu nowy kłopot.

Kiedy zaczęto gasić ogień, zdążył on już tak bar-

dzo ogarnąć ciało Indjanina, że w oczach jego, zda się, zamierało życie.

Po kilku dniach skonał *Milache* w okropnych cierpieniach. Oparzenia były tak ciężkie, że wiedzy lekarskiej nie udało się ich zagoić.

Jak opowiadają w miasteczku, nieszczęśliwy nie wydał ani jednego jęku. Któregoś wieczora, w chwili bardzo smutnej, kiedy słońce tonęło na skraju pampasów, skinieniem dał znak tym, co go otaczali.

— *Milache!* — szepnął. I wyzionął ducha.

Pewien znajomy poeta, który znał tę historję, zapewnia, że *milache* w języku ojczystym chłopca znaczy: Zemsta!...

PIZARRO NA WYSPIE GALLO.

FILIP SASSONE — współczesny poeta, powieściopisarz i dramaturg peruwjański.

Napisał: „*La Espuma de Afrodita*” („*Piana Afrodyty*”); „*Bajo el arbol del pecado*” („*Pod drzewem grzechu*”); „*El tonel de Diógenes*” („*Beczka Diogenesa*”); „*La canción del Bohemio*” („*Pieśń cyganerji*”) etc.

Franciszek Pizarro wyszedł z namiotu i rzucił się na piasek. Znajdował się na pustynnej wyspie Gallo na północ od Peru. Była noc letnia, jasna i gorąca.

Nadmierne znużenie, głód i duszność, spowodowana żarem, którym zionęła ziemia, niby piekielnem tchnieniem, lecz nadewszystko oczekiwanie, to opętające oczekiwanie na upragnione złoto, podsycало bezsenność męznego Hiszpana. Nagle zerwał się na nogi i wciągnął wielkimi łykami powietrze morskie, czyste i pełne zapachu. Oczy jego, równie marzące, co energiczne, wypatrywały niespokojnie, lecz bezskutecznie przyjacielskiego statku na wielkiej równinie morskiej. Nic nie widział na horyzoncie, olbrzymim i niemym, jak jego beznadzieja. Jeno na wodzie — zielonawa fosforescencja, i w powietrzu blask świetlików, a tam, wysoko, pełnia miesięczna, okrągła, rozplamiona, niby przedziwne pośród nocy słońce. Pizarro leżał ponownie na piasku. Promienie księżyca błyszczą-



ły na morzu, a lazurowy odbłask, rozpryskując się na zbroi konkwistadora, dawał mu w ciszy nocnej wygląd szczególny, tajemniczy i fantastyczny. Na wielkim szmacie wybrzeża odcinała się, niby głowa starego Chrystusa bizantyjskiego, twarz dzielnego awanturnika, ostra i wyniszczona, a woskowa jej bladość w nimbie poświaty kontrastowała z czernią brody, długiej i gęstej.

Piękna postać Franciszka Pizarra w pogniecionej zbroi, wytartym kaftanie i szyszaku, próżnym pióropusza, — bosa, złamana i zaniedbana, lecz szlachetna w swej nędzy, jak bohater w upadku, podobna była, — pełna rycerskości anachronistycznie średnio-wiecznej i fantastycznej, — do innej postaci, do owego szalonego paladyna błędnego, którego unieśmiertelniło pióro Cervantesa. Wyciągnięty na piasku, Pizarro marzył, wywołując przeszłość i pragnąc odgadnąć przyszłość. Wspomnienie jego biegło aż ku chwilom dzieciństwa w mieście estremadurskiem, gdzie, sierota, poważny i smutny, był najpierw pasterzem trzody chlewnej, potem służącym u pewnego zakonnika, snycerza-złotnika, który, wyrabiając monstrancje i kielichy, obudził w nim chciwość i pragnienie bogactw. Smutek, właściwy tym, co nigdy nie byli dziećmi, przerodził się u niego w jakiś nastrój buntowniczy, a bajeczne opowieści o *Nowym Świecie*, wówczas tak głośnym, wzbudziły, na tle nędzy jego żywota, niejasne, lecz niepokahowane pragnienie walki i złota.

Zaciągnąwszy się do szeregu emigrujących poszukiwaczy przygód, wyćwiczył się w sztuce wojennej,

i, w obliczu niespodzianie ujrzanego Oceanu Spokojnego, gdy Nunez de Balboa wkroczył na wody z epickim okrzykiem: „Biorę was w posiadanie w imieniu pana mojego, króla Hiszpanji!” w umyśle jego błysnęło wyraźne i jasne widzenie tego Nowego Świata, który oto szedł zdobywać. I wówczas to los postawił na jego drodze dwóch ludzi, równie ambitnych i zdecydowanych: Ferdynanda de Luque i Diego Almagra, którzy współdziałali w tem przedsięwzięciu, zebrali pieniądze, wyekwipowali ludzi, zdobyli protekcję gubernatora Panamy i przyjęli wraz z Pizarrem komunę św., klnąc się na Boga, że poniosą hen, za morze, błogostawiony kult krzyża i jego niezłomną doktrynę. Wszystko to wspominał ze smutkiem nieulękły Estremadurczyk, czynny i energiczny inicjator podboju, oczekując owej nocy, ranny i znękany, z garścią wygłodniałych ludzi na wyspie Gallo, posiłków od gubernatora Panamy. Walczył zaciekle w różnych miejscach z Indjanami, wyszedł obronną ręką z siedmiu ran, które przebiły jego pierś, wytrwał w ciągu wielu dni pośród fantastycznych lasów, trzęsawisk, pełnych owadów i zabójczych miazmatów... I wszystko miało pójść na marne w jednym momencie zwątpienia, na owej fatalnej wyspie Gallo, wskutek tak znacznego opóźnienia posiłków! Żołnierze odmawiali mu posłuszeństwa: podobnie, jak załoga Kolumba groziła Genuńczykowi dlatego, że nie ukazuje się ład, tak i zastęp konkwistadora estremadurskiego protestował burzliwie przeciwko znoszeniu tyłu cierpień dla jakiegś tam wątpliwego garści złota. Ach, on jednak wytrwa, wy-

trwać musi! Był bowiem rycerzem hiszpańskim, zachwałym i fanatycznym, bowiem przedsięwziął podbóje w imię Boga. I, myśląc o tem, w jaki sposób przemówi do żołnierzy, Pizarro zapadł w ciężki sen pod tchnieniem tej nocy letniej, podzwrotnikowej jasnej i upalnej.

.....

Promień słońca złożył ognisty pocałunek na wynędzniałej twarzy hiszpańskiego konkwistadora. Franciszek Pizarro powstał. Napróżno usiłował odświeżyć wodą morską pałające policzki. Wnet jął badać ponownie widnokrąg, rękę przyłożywszy do czoła, nakształt abażura. Poranek był olśniewający: w świetle gwiazdy porannej piasek, ocean i powietrze nabrały kolorytu przejrzystego złota, a raczej były — próżne kolorytu: wszystko stało się białą światłością. Nagle dzielny poszukiwacz złota krzyknął:

— Do mnie, żołnierze! Bracia nasi przybywają tu!

Z namiotów, bielejących na żółtej równinie, wyległa setka żołnierzy, wycieńczonych, o kroku powolnym. Błyszczą na nich poniszczone zbroje. Tam, daleko, na świetlistym niebie odcinały się żagle dwóch galer, ozdobionych banderą Kastylji.

Wszyscy skupili się na brzegu. Pizarro donośnym głosem zagrzewał oddział:

— Widzicie? Odżywa nadzieja w naszych duszach. Nadchodzi już pomoc: naszą będzie sława, wia-

ra nasza odkupi barbarzyńców i złoto Peru będzie nasze.

Ale nadzieje rozwiały się rychło. Po przybyciu statków i wylądowaniu podróżnych, wnet się okazało, że nie z pomocą dążyli, lecz gwoili unicestwieniu jego wysiłków. Kawaler Tafur, który był dowódcą okrętów, zwrócił się do Pizarra tonem gderliwego wyrzutu. Był to człowiek niski i brzuchaty, o orlim nosie i skośnych oczach; na jego cienkich wargach, bezbarwnych i przebiegłych, igrał zimny wyraz złośliwej przewrotności.

— Wasza sława blednie, mości Franciszku, lecz szaleństwo wasze trwa, a życie — wolne jest od niebezpieczeństw.

— Nie rozumiem was, kawalerze Tafur — odparł Pizarro, wsparłszy prawicę na rękojeści szpady i spoglądając dumnie z pod wspaniałego łuku brwi. — Nie blednie moja sława, nigdy jej bowiem nie miałem, ale mieć ją będę. Nie jestem szalony, jeno mężny, i niczem mi życie, jeśli się nie uda moje zamierzenie!

— Dobrze, dobrze, mości Pizarro. Wszystka ta chełpliwość — dla don Pedra de los Rios, prześwieznego gubernatora Panamy, a nie dla mnie, bowiem on mnie przysyła.

Z tłumu żołnierzy wybiegł niespokojny okrzyk:

— Błogosławiony niech będzie pan gubernator, który przysyła po nas!

— Milczcie! — ryknął Pizarro. — Dajcie porozumieć się nam, panu kawalerowi i mnie!

— A więc, tak — ciągnął dalej Tafur, — do gu-

bernatora dotarły wieści od waszych własnych żołnierzy, którzy się skarżą na niedostatek i cierpienia, znoszone w tej chimerycznej ekspedycji do chimerycznego kraju z marzeń i bajek... I rozkazuje wszystkim powrócić do Panamy.

— Wszystkim — nie! — wykrzyknął Pizarro, — bo nikt nie rozkazuje wolnej mojej woli; ja umrę tu wraz ze swym szaleństwem, lub osiągnę przez nie triumf.

Czarne jego oczy wbiły się wyzywająco w zmieszanego wysłannika, a w oddechu głosu poruszyła się, niespokojnie wibrując, gęsta, jak u bizantyjskiego Chrystusa, broda.

— To — dla gubernatora — szepnął Tafur z lodowatym uśmiechem.

— I dla was, wielki nędzniku! — ryknął Pizarro. — Dla was, wysłanniku tchórzostwa i niewiary, coście się nie powstydzić przyjść podkupić garści dobrych Hiszpanów i dobrych chrześcijan!

— Pomiarkujcie się, mości Pizarro, i baczcie, aby nie stała się krwawą misją pokojową, z jaką tu do was przybywam.

— Na Boga! — krzyknął, nie panując nad sobą konkwistador. — Raczej purpura krwi, niż wstyd! Chodź tu sam, abym pokazał, jak lśni szpada dobrego wasala naszego Króla Jegomości!

Już burzyli się żołnierze, rzekłbyś, rozfalowane morze, gdy z okrytego łachmanami zastępu Pizarra wyszedł sternik Ruiz w celu uspokojenia namiętności,

— Spokoju, bracia! Kawalerze Tafur, idźcie wraz z mości Franciszkiem do jego namiotu i rozmówcie się tam, jak przystało szlachetnym mężom. Niechaj nie będzie powiedziane, żeście wzburzyli żołnierzy — wy i wasi.

Wysłannik Pedra de los Rios wyjaśnił konkwistadorowi, że w paczce bawełny otrzymanej, jako wzór bogactw Nowego Świata, był list żołnierza Sarabia, skarżącego się na bezpłodność wyprawy. A ponieważ Pizarro nie potrafił czytać, Tafur osobiście odczytał pismo.

Daremne były błagania, daremne zapewnienia, z których wynikało jasno, że istnieje kraj bogaty niedaleko *El Dorado*.

— Dajcie nam jeden statek, dajcie prowiantu — błagał Pizarro, — a ja wam ręczę za rezultat. Przyłączcie się do nas, będziecie bogaci, okryjecie się chwałą...

Zazdrosny wysłannik nie dał się przekonać.

— Pojmuję, że ambicja was zaślepia, i podziwiam wasze męstwo, lecz muszę wypełnić otrzymane rozkazy. Jedziemy, wsiądźcie i wy wraz z żołnierzami na statek. Jużście za starzy na podobne wyprawy.

— Serce nie starzeje się nigdy, kawalerze Tafur, niechaj decydują się żołnierze, ja jednak nie pójdę.

Gdy wieczór zapadał, zebrali się wszyscy, i Pizarro przemówił do nich z resztą nadziei:

— Słuchajcie mnie! Między wami znalazł się Judasz, co napisał do gubernatora don Pedra de los Rios, skarżąc się na mnie i na szaleństwo tej wyprawy. Cóż

żem uczynił, aby sobie na to zasłużyć? Czyż pierś moja nie była pierwszym celem, wystawionym na strzały Indjan? Czy nie znosiłem wraz z wami głodu i pragnienia? Nie byłemże siedemkroć ranny? Nie stałem się dla was więcej, niż wodzem, bo — opiekunem i bratem? Tchorz więc to uczynił i niegodny, lecz ja mu przebaczam, odpuszczam Judaszowi pod warunkiem, że pójdzie...

Jakiś głos odezwał się z pośród żołnierzy, przerywając mowę:

— Nie chcemy stracić życia dla nędznej garści złota. — I buchnął wielki okrzyk zgodny:

— Do Panamy! Do Panamy! Do Panamy!

— I pójdziecie do Panamy, bądźcie spokojni — zapewnił Tafur.

Wówczas Pizarro obnażył szpadę i nagle, wielkim gestem bohaterskim, godnym tytana, nakreślił na piasku linę ze wschodu na zachód. Oczy jego błyszczały potępieńczym ogniem, a głos zabrzmiał, niby surma bojowa:

— Tędy — rzekł, wskazując na północ — idzie się do Panamy, do ubóstwa i do hańby. Tamtędy — dodał, z gestem na południe — dąży się do Peru, aby być bogatym i ponieść prawdziwą wiarę prawdziwego Boga. A teraz, niech ten, co jest dobrym Kastyljczykiem wybiera, co mu najlepiej odpowiada.

I wyprostowawszy się w majestatycznej postawie, przekroczył linę, kawaler mężny i godny, pełen fanatyzmu. Grek Pedro z Kandji, jeden z żołnierzy, który mu towarzyszyli, czując, że odżywa w nim duch

bohaterów homeryckich, uczynił to samo, a potem — sternik Ruiz, a potem dziesięciu innych, pociągniętych przykładem dowódcy. Ten zwrócił się wówczas do szczupłej grupy, jaka go otaczała, nieruchomej i dumnej, jak gdyby czekającej na rzeźbierza, któryby utrwalił ten wspaniały widok.

— Otóż widzicie, kawalerze Tafur, nieliczni jesteśmy, trzynastu nas tylko, lecz, że mamy wiarę, iż przebijemy góry, dzielące nas od Peru, — wzrośniemy, niby olbrzymy. Radujcie się, przyjaciele i wierni żołnierze naszego Króla Jegomości, bowiem, gdybyście nawet zginęli w tej wyprawie, osiągniecie przecie największe ze zwycięstw: zwycięstwo nad śmiercią i zapomnieniem.

Dwanaście szpad skrzyżowało się na szpadzie Pizarra, tworząc dwanaście krzyży w jednym.

— Na krzyż naszej szpady — rzekł Grek — przysiążmy wszyscy jednego zaznać losu...

— I ten krzyż — dokończył Pizarro — będzie symbolem, który zatriumfuje w Nowym Świecie.

Gdy już postanowili wytrwać i ponieść dalej hasło, Pizarro zlecił sternikowi Ruiz wrócić do Panamy, aby zdać sprawę z wydarzeń towarzyszącym Luque i Almagro, zachęcić ich, aby nie ustali w niesieniu im pomocy.

Pożegnanie było wzruszające. Ci, co odjeżdżali, w strapieniu i niepokoju, ze łzami w oczach spoglądali na dwunastu pozostałych, których uważali za ofiary własnego zuchwalstwa i uporu.

Tafur, rozbrojony męstwem zdobywców, zgodził

się oddać im część swych zapasów, a gdy galery zniknęły w dali na widnokręgu, dwunastu bohaterów padło na kolana pośród piasków, ponawiając swą obietnicę w imię Boga, Pana naszego. W ciszy zmierzchovej, przysięga dwunastu lwów zabrzmiała tonem eposu, majestatycznym i uroczystym. Morze wplotło, niby hymn, swą dźwięczną harmonję, a słońce, spłonione, pogrążyło się w oceanie, jakgdyby zawstydzone taką wielkością.

Tak rozpoczął się podbój Peru.

14 LIPCA.

MANUEL GUTIERREZ NAJERA — współczesny poeta i nowelista meksykański.

Napisał: „Cuentos color de humo y cuentos fragiles” („Opowiadania barwy dymu i Opowiadania delikatne”), „Poesias” („Poezje”) etc.

Chcę opowiedzieć historję krótką i smutną, a opowiem ją dlatego, że na ulicach będzie dzisiaj podobna wesołość, a dobrze, aby roześmiani, szczęśliwi przypomnieli sobie, że są i inni, bardzo nieszczęśliwi. Jest to epizod z dnia czternastego lipca, ale nie roku tysiąc osiemset siedemdziesiątego dziewiątego, lecz czternastego lipca roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego, A jego bohaterką jest piękna, nieszczęśliwa Meksykanka. Ach, wiele o tem pisały dzienniki paryskie! Arsenjusz Houssaye, dawny laureat, poświęcił jej świetną kartę, złocistą aureolę, podobną do tych, co otaczają skronie męczenników. Miłosierdzie ukochało ją przez jedną chwilę, nie więcej niż — chwilę, bowiem ma ono zawsze niezmiennie dużo do czynienia. I gdy spoglądam teraz na te chorągwie, bandery i maszty, symbole szlachetnego wesela, myślę o biednej Meksykance, która spędziła w Paryżu dzień czternasty lipca roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego.

Wyszła zamaż za Francuza, który przybył do naszego kraju wraz z nieszczęsną interwencją. Tutaj miała sześcioro dzieci... Wszak wiecie, że ubóstwo jest bardzo płodne! Żyli z wielkim trudem, a mąż, spodziewając się, że w ojczyźnie znajdzie wydatniejszą pomoc, wrócił do Francji wraz z żoną i pół tuzinem dzieci. Był malarzem i dekoratorem, malował kwiaty i owoce do pokojów jadalnych, wykonywał portrety i miał wszelką chęć podjęcia wszelkiej pracy uczciwej. Ale właśnie tego nie znajdował tu. Paryż jest tak wielki! Na jego ulicach — tyle wrzawy. I tak trudno dosłyszeć tam głos człowieka!...

Charakter dumny, ambitny, nie zdecydowałby się nigdy prosić o jałmużnę. Nędza, zwykle miłująca dumę, stała się jego towarzyszką.

Pewnego wieczora, wyczerpawszy już wszystkie środki, rzekł:

— Trzeba umrzeć.

Usłyszało to najmłodsze z dzieci i zapytało matkę:

— Mamo, co to jest „umrzeć“?

— Umrzeć, syneczku, to — pójść do nieba.

— A jakie jest niebo? Jak morze?

— Nie: niebo to ogród, gdzie dużo kwiatów i owoców, i dużo zabawek dla dzieci.

— Tak. Ale to nie dla mnie. I tu też jest to wszystko, ale nic nie jest moje.

— W niebie te dzieci, które nie są krnąbrne, otrzymują czego pragną.

— Mamo, chodźmy do nieba!

Dziewczynka, słuchająca uważnie, wtrąciła się wówczas do rozmowy:

— Droga musi być długa, bardzo długa... Stąd do nieba!...

— Nie, znacznie wygodniejsza i szybsza niż z Meksyku do Francji. Zasypia się, a po przebudzeniu jest już — niebo.

— A czy są tam takie zabawy, jak tu dzisiaj, z muzyką i sztucznymi ogniami?

— Przez cały rok.

— Więc chodźmy!

I myśl udania się do nieba opanowała te biedne dzieci, dla których ziemia była tak twarda.

Umrzeć! Jakie piękne słowo! W uszach ich zadźwięczało śpiwnie, jak w uszach niektórych ludzi.

— Ale nie chodźmy jeszcze — rzekło inne z dzieci. Dziś jest czternasty lipca. Ja chcę widzieć ognie.

Ojciec i matka zamienili błagalne spojrzenie.

— Zaczekamy!

Tak to zapomnieli niemal o głodzie w nadziei pójścia do nieba, i usnęli, marząc o gwiazdzistych strzałach i zabawkach z białej porcelany, niesionych przez aniołów. Tylko najmłodsza z dziewczynek, która nie rozumiała, rzekła słabnącym głosem:

— Mamo, papo.

Spojrzeni na siebie bez słów. Jakże tu czekać do jutra?

— Mogę jednak, sprzedając coś, zdobyć franka. Pedro, Juanito chce zobaczyć ognie.

I czekali... Błuznierstwem byłoby napisać — mieli

nadzieję. Ojciec znalazł jakiś obrazek — namalowane kwiaty — którego nie mógł sprzedać. Poszedł, aby go ofiarować dobrej pani z dystrybucji. Może coś da!

Wyszedł bardzo wcześnie. Święto rozbrzmiewało już hymnem triumfalnym na placach i bulwarach.

Wkrótce znów otwarły się drzwi klitki: malarz powracał.

— Co ci dali?

Przygnębiony, nie otwierając ust, upuścił na podłogę kilka rycin.

— Tyle... aby się dzieci bawiły.

Nie pamiętacie historii Schiavona? Ów malarz wenecki miał również żonę, sześcioro dzieci i — nędzę. Był również dumny. I wymalował coś tam dla ojców z Santa Croce, oddał pracę swą ojcom, którzy dali mu w nagrodę wiązaną róż. A on upuścił kwiaty na nagie deski podłogi, a biała Hiacynta, jego żona zasypała płatkami puste talerze; skończywszy to, rzekła do męża i dzieci:

— Chodźcie: oto wieczerza gotowa.

W chwilę później umarła z głodu.

Meksykanka zebrała nieco więcej niż franka, aby przeżyć dzień czternasty lipca.

Wszyscy wyszli na ulicę, aby dzieci mogły użyć przechadzki. Ile wesołości! Jaki przepych!

Dzieci, słabe i głodne, mijając wystawy sklepowe, pytały:

— Mamo, co jest w niebie? Pieczone kurczę?

— I szynka?

— I pasztet?

Najstarsza dziewczynka, czternastoletnia, patrzyła ze smutkiem na magazyny mód. Była ładna i odchodziła, zanim świat mógł ją ujrzeć! Może biedactwo nie wierzyło w niebo, ale wierzyło w śmierć, pełną ukojenia. Nie zwiódły jej uszy dźwięki muzyki, oczu nie zwiódły sztuczne ognie, ani wyobraźni — obietnice niebieskie. Tak wystrzela rakietą, i, rozbłysnąwszy, chce również dotrzeć do gwiazd... lecz gaśnie w powietrzu. Pewne jest, że zostaje jeno szkielet z racy, która zalsniła przez chwilę. I pewna jest noc głęboka i czarna. Dziewczynka odezwała się pierwsza:

— Czy już idziemy?

A młodsze dzieci zawołały chórem:

— Tak, papeczku, chodźmy do nieba.

Po drodze kupili chleba. Byli głodni, bardzo głodni. Na barłogu pochłonęli kupiony chleb. Ojciec nie jadł — nie mógł. Nie jadła i matka — nie chciała.

Ale ów chleb wyczerpał pieniądze aż do ostatniego centyma. Aby spać dobrze, spać, jak tego pragnęli, niezbędny był węgiel.

— Ach, niema kłopotu! — rzekła najstarsza. Portjer mi pożycz.

Wyszła. Przyniosła.

Nie trzeba było gasić łojówki. Sama zgasła. Płonął węgiel, a jego blask dantejski miał podobieństwo do czeluści piekielnej, wynikającej w mroku. Ktoś płacze?... Ktoś łka?... Ktoś się skarży?... Ktoś się wie?... Ktoś tłumi bluźnierstwa?... Ktoś się dusi?...

Pierwsze z kolei czad ogarnia niemowlę przy pierś, potem czepia się najsłabszych, chwytając rodziców,

adają,

zając w
koszny
Marion
k gdy-
chwsta-

leczował
zimnej
likatnie,
y przed
pączek

: Ludwi-
cześć cu-

a zdala
Wchodzą-
enie aro-
ryj. Pod
ektryczne
ch toalet
ołóweczki
łona ko-
erokie ra-
się, siłą

aby przeczuli, bezsilni, agonję swych dzieci, a pośród tej grozy i walki straszliwej a niemej, ciszę przerywa głos starszej córki:

— Nie! Ja nie chcę umrzeć! Ojczu, przebacz mi!

Następnego dnia jakiś sąsiad wyważył drzwi: wewnątrz były trupy. Wyniesiono je na powietrze, czyniono niesłychane wysiłki... Wszystko na próżno!

Prawda, że ten obraz musiał być straszliwy? Życie znalazło karę, znalazło mękę gorszą, niż to wymyślił Dante: matka została przy życiu!

Ach, to przekracza wszelkie tortury! Ugolino pożera swe dzieci. I Ugolino umiera. Lecz śmierć nie zechciała tej matki.

.....

Gdzie jest ona? Czyż nie ułagodził się Bóg? Nie pozwolił, aby umarła? Święte nieba! Ilekroć spoglądam na uroczystości tego dnia, gdy widzę, jak na „kiermaszach” śmieje się i bawi tyle dobrze odzianych dzieci, myślę o owych niewinnych istotach, co umarły zgłodniałe, zaczadzone, i zwracam się do dobrych serc:

— Litości, na miłość boską!

— Panie, gdzie jest biedna Meksykanka? Jeżeli jeszcze żyje, daj jej jałmużnę śmierci!

I, oddalając się nerwowo, szepnęła:

— Musi być kłamstwem to, co o nim opowiadają, jest sobie całkiem zwykłym mężczyzną.

Wspomnienie o Marji Ludwice, potężniejąc w duszy Andrzeja, rozlało w jego uczuciach rozkoszny spokój. Paryż zasnuwał się mgłą, rozpustna Marion rozwiała się wreszcie w jego pamięci, a on, jak gdyby wrócony nowemu życiu, czuł, że zmartwychwstał w nim dawna czystość chłopięcia.

* * *

Nigdy bardziej niż tego wieczora nie odczuwał Andrzej przyjemności zanurzenia twarzy w zimnej wodzie. Świeży batyst koszuł pieścił go delikatnie, a lekki dreszczyk przebiegał ciałem. Włożywszy przed lustrem frak, Andrzej umieścił w bufonierce pączek róży.

Po długich dniach miał zobaczyć Marję Ludwikę na balu, wydanym przez Jacht - Klub na cześć cudzoziemskich marynarzy.

Na ulicy rozlegał się turkot pojazdów, a zdawało się, że widać było białe trójkąty męskich gorsów. Wchodzącego do sali Andrzeja owionęło gorące tchnienie aromatów, zmieszana woń kwiatów, ciał i materij. Pod drzewami patio, oświetlonymi przez elektryczne słońca, przechadzały się pary; z wyciętych toalet zwieszały się na jedwabnej nitce małeńkie ołóweczki karnetów, trzepoczących się, niby motyle, u łona kobiet. Andrzej rozpoznał w jakiejś grupie szerokie ramiona Sergjusza, który przyciągnięty, zda się, siłą

magnetyczną, odwrócił się raptownie i, wybuchając śmiechem, padł w ramiona Andrzeja.

— Jak się masz, chłopcze!... Zawsze ten sam!.. — wykrzyknął na cały głos Sergjusz tonem zdziwienia. — Ileż to czasu nie widzieliśmy się!... Mamy tyle do mówienia... Przyszedłem tu... wiesz pewnie, dla czego...

Wybuch zazdrości i jakaś nieufność owładnęły Andrzejem do tego stopnia, że nie wiedział, co odpowiedzieć na ekspansywne uczucia Sergjusza.

— Marja Ludwika jest tutaj i pytała mnie o ciebie — ciągnął dalej Sergjusz.

Jakto? Pamiętała? Odgadła—młodemu dziewczęciem — miłość rówiesnika? Myślała o nim? Tłumem osaczyły pytania zgorączkowany mózg Andrzeja.

— Chedź — rzekł Sergjusz. I, ująwszy bezceremonialnie ramię przyjaciela, skierował się poprzez tłum ku drzwiom.

Na ogrodowej ławce, w pobliżu orkiestry, siedziała Marja Ludwika obok kuzynki Krauna, Izabeli. Fioletowej barwy suknia odcinała kształt jej magnoljowego biustu i okrągłe linje nóg.

Zbliżywszy się do pań, Andrzej skłonił się głęboko. I w owej chwili wydało mu się, że zapomniał włożyć krawat; szybko podniósł rękę do szyi, aby się przekonać, że tak nie jest.

— Senorito: mój przyjaciel Andrzej — rzekł Sergjusz do Marji Ludwiki.

— Wiedziałam już z pism, że pan wrócił — od-

parła Marja Ludwika ze szczerym uśmiechem ślicznie rozkwitłych ust.

— Tak, pani, już blisko trzy tygodnie, jak jestem w Caracacie.

— I zapewne zamyśla pan o powrocie... życie w Paryżu jest, jak powiadają, tak interesujące...

Jakis letarg ogarniał Andrzeja, a subtelna trucizna przenikała do jego por: ciało Marji Ludwiki, podobnie jak Marion, tchnęło zapachem opoponaxu. Z uczu jej, z ust i piersi wyglądała perwersyjna dusza Marion!

W takt upajającej melodji strausowskiego walcu Andrzej krążył zawrotnie z Marją Ludwiką, z której żył tryskało, zda się, tysiące źródeł opoponaxu.

I pośród balu zamierała w jego ramionach biała ułuda, czysty ideał i naiwność wieku chłopięcego, a niewidzialna dla wszystkich, wynikała ponad czernią fraków i obnażonemi ramionami triumfująca postać lubieżnej Marion...

„UCZONA”.

ALBERT INSUA — współczesny powieściopisarz i krytyk południowo - amerykański.

Napisał: „*El alma y el cuerpo de Don Juan*” („Dusza i ciało Don Juana”); „*Las flechas del Amor*” („Miłosne strzały”); „*Por Francia y por la libertad*” („Za Francję i wolność”); „*El Peligro*” („Niebezpieczeństwo”)

I.

Najładniejszą dziewczyną w Fontanar del Monte była Lorencyka, córka imćpana Lorenca, weterynarza, i pani Moniki, krawczyni. W całym Fontanar nie było małżeństwa bardziej dobranego i statecznego, niż państwo Melgares, — tak bowiem nazywali się: pan Lorenzo i jego małżonka. Uczciwi i pracowici, on — zajęty leczeniem krów i koni, ona — krojąc i szyjąc dla Fontanar i dwudziestu mil w promieniu, stanowili dumę i chlubę parafji, wzór stadeł, zalecany wszystkim wiernym przez księdza proboszcza. Spoglądając na nich, tryskających zdrowiem, mawiał miejscowy lekarz, don August:

— Oto jest tęga rasa kastylska, zdrowy pień i obfitość soków, najczystsze źródło potomstwa.

Lekarz z Fontanar był dosyć ocytany, a nawet, jak się zdawało, pisywał wiersze. Raz jeden tylko mu-

siał don August wkroczyć w charakterze doktora do domu pana Lorenca i pani Moniki, kiedy to, oboje bardzo młodzi, i świeży, i bardzo szczęśliwi, porozumieli się, aby przedłużyć swą egzystencję w osobie Lorencyki, wówczas maleńkiej i słabiutkiej. Don August otwarł przed nią podwoje życia, a ksiądz proboszcz, chrzcząc ją, uwolnił od — Ciemności. Dobrotliwy pleban nie pożałował soli, — jak sam mawiał po latach, — oceniając wdzięk i urodę Lorencyki. Podśmiewał się nieco z tych pretensyj don August, interesując się hołdami, jakie otrzymywało dziewczę od całego Fontanar. A było to tak dlatego, że lekarz, trwający niezmiennie w bezżeństwie, darzył Lorencykę takim uczuciem, że poświęcał na jej edukację czas, jaki miał stracić w kasynie lub aptece. Z jednej strony — katechizm, co leżało w zakresie proboszcza, oraz prace ręczne, do których pani Monika umiała wdrożyć doskonale Lorencykę; ile zaś umiała z rachunków, geografji i gramatyki zawdzięczała temu szczeremu oryginałowi, jakim był eskulap.

Don August nie mógł doprowadzić do końca swego poetyckiego i miłosiernego dzieła: oświecenia pierwotnej i trwożliwej duszy wiejskiego dziewczęcia. Kiedy Lorencyka miała lat dwanaście i zaczęła dojrzewać, zarówno fizycznie, jak i duchowo, romantyczny don August zszedł z tego świata. Lecz ogłodził był już dostatecznie chropawość kastylską Lorencyki, i w dziewczęciu kiełkowało tego niejedno ziarno wiadomości i fantazji. Dzięki don Augustowi Lorencyka umiała tyle, tyle rzeczy, iż nazywano ją

w miasteczku, bez najmniejszego zresztą pozoru żartu, *Uczoną*. Kto w Fontanar pisał wszystkim listy, listy trudne, okrągłe w formie i jasne w treści? Lorencyka. I Lorencyka odczytywała również pisma, przychodzące z zewnątrz. Matki oraz narzeczone błogosławiły ją, niby świętą, i jedynie tylko nauczycielka szkolna, dona Helena, zezowata i złośliwa, „nie mogła na nią patrzeć”. Miała ona swe racje: Lorencyka pogrążała ją w cieniu, wcale zresztą tego nie pragnąc. Nie zdarzyło się nikomu pytać dony Heleny, jak zaadresować do Urugwaju kopertę, lub też zreagować memorjał albo podanie. Lorencyka wiedziała to, albo — odgadywała, i do Lorencyki, do *Uczonej*, zwracało się całe Fontanar z takimi sprawami i kwestjami.

Lorencyka, otoczona ciżbą, czytywała też powieści, wychodzące zeszytami. Pan Lorenzo i pani Monika nie stawiali przeszkód uprzejmościom, „świadczonym bezinteresownie” ludności przez ich córkę. Mąż i żona byli chciwi, możnaby rzec. skąpi. uważali jednak, że dzięki zaletom Lorencyki interesy ich prosperowały. Z barúzo daleka wzywano senora Lorenca dla zabiegów weterynaryjnych, i z najdalszych stron przynoszono szycie do senory Moniki jedynie dlatego, aby porozmawiać z *Uczoną*. Senor Lorenzo, który z wiekiem i majątkiem — a zgromadził go już był nieco — stawał się coraz więcej ambitny i wyrachowany, zwykł był mawiać do żony:

— Ta dziewczyna dostanie męża, jakiego zapra-

gniemy. Wystarczy tylko spojrzeć... I co najbogatszy rolnik albo hodowca będzie dla Lorencyki.

Senora Monika potakiwała: „...

— Nasza córka to prawdziwa perła. Popatrzcie tylko, jaka jest elegancka, a ile ma w głowie różnych rzeczy!... Nawet w Madrycie zwróciłaby uwagę... Ja pro prostu nie widzę, kómby ją dać.

— Ja to wiem, ja wiem... — szeptał senor Lorenzo, przebiegle, smakując jakąś przyjemną myśl. — Ale cierpliwości, ma dopiero siedemnaście latek... Zaczekajmy jeszcze ze dwie zimy i wydam ją, naturalnie, że ją wydam!

Senorę Monikę trwożyły ambitne plany senora Lorenca.

— Ten, o którym ty myślisz, jest bardzo bogaty, bardzo bogaty... Wszystkie prawie grunta w Cepeda należą do niego... I nie kupi go za milion realów, mój Lorenzo...

— Czy dziewczyna nie jest ich warta?...

I weterynarz kończył rozmowę, rzucając porozumiewawcze spojrzenie na żonę.

II.

Tymczasem Lorencyka stawała się coraz bardziej kobietą i to — coraz piękniejszą. Jej uroda wiejska, niby owoc, zdrowy i dojrzały, pociągła i podniecała. Przytem Lorencyka nie dbała o krygowanie się i mizdrzenie. Była ładna, lecz nie kokietka, choć wiedziała bardzo dobrze o swych zaletach i wdziękach. Su-

knie leżały na niej wyśmienicie. Prawda, że ciało jej, niby toczone, odznaczało się elegancją linii i proporcji, której nie trzeba szukać w manekinach. Lorencyka posiadała też intuicję, a jeśli w rzeczywistości miała niewiele wiadomości — choć uchodziła w swej wiosce za „Uczoną“ — to wzamian przeczuwała rzeczy, których nikt, w najmniejszym stopniu, nie domyślał się w całym Fontanar. Lekcje don Augusta otwierały przed nią, w samym sercu Kastylji, lazurowe i tajemnicze drogi morskie. Morze! Morze! Lorencyka potrafiła wyobrazić sobie okręt, port, i ujrzeć oczyma duszy owe miasta amerykańskie, gorące i ruchliwe, gdzie mówią po hiszpańsku... Lorencyka czytała ze wzruszeniem o podbojach Pizarra i Almagra, o podróżach Kolumba — w książce, którą jej ofiarował don August. Z rodzicami jeździła Lorencyka do stolicy i tam wchodziła do kawiarni, do kinematografów i teatrów.

A wreszcie czytywała Lorencyka pisma, zwłaszcza ilustrowane, interesując się w nich namiętnie zbrodniami, opowieściami o torerach i tancerkach... Nie zazdrościła nikomu losu, a w snach swych i rojeniach nie widziała nic niebezpiecznego lub niezdrowego...

Tylko że... córka senora Lorenca, nie okazując bynajmniej antypatji, ani dumy, odpychała zaloty, bowiem „nikt się jej nie podobał w Fontanar“. Wszyscy chłopcy wiejscy budzili w niej lęk. Zresztą — mówiła sama do siebie bardzo cicho — byli tak tępi! „Ja nie wyjdę zamaż — rozumowała pocziwa dziewczyna-

na — bo jestem zbyt mała dla pana, a zbyt wysoka dla jakiegoś chłopca z Fontanar". Wówczas właśnie, kiedy Lorencyka układała w ten sposób swoją przyszłość, senor Lorenzo i Blas Balmana, bogaty rolnik z La Cepeda, zaczęli się z sobą przyjaźnić i stale chodzić razem i tu, i tam.

Cóż to mogło obchodzić Lorencykę? Jedynie tylko budziło w niej śmiech, bo taki oto Balmana, wraz ze wszystkimi swoimi ziemiami i chałupami, był najniezwyklejszym w świecie człowiekiem, jeżeli, jak to można myśleć, szczęście polega w dużej mierze na tem, aby mieć twarz, jak się patrzy, i wygląd chrześcijański, a nie pozór jakowejś tępej bestji, bardziej jeszcze śmieszny, niż odpychający. Trzeba było widzieć, a raczej lepiej było nie widzieć tego człowieka!... Niziutki i krępy, główkę miał wciśniętą w ramiona; zezowaty, płaskonosy, o policzkach wzdętych, a ustach mięsistych i szerokich przypominał — niechaj wolno będzie powiedzieć — prosię, ale prosię, noszące kapelusz filcowy, surdut z dobrego kortu, szalik wełniany, jedzące zaś i pijące — no, tak! przy pomocy noża, widelca i szklanki, i to — nie jak wszyscy, lecz więcej od wszystkich, bowiem to zwierzę było bogate, bardzo bogate, i mogło sobie pozwolić na wszelkie zbytki i kaprysy żołądka. A że senor Lorenzo, w pięćdziesiątym roku życia, był jednak mężczyzną dorodnym, tak dorodnym, że przyjemnie było nań spojrzeć i pomyśleć „to jest mój ojciec”, tem więc szpetniej jeszcze i śmieszniej wyglądał dorobkiewicz z La Cepeda.

A chwilami spoglądał on na dziewczynę rozmiłowanym wzrokiem, oblizując się, jak gdyby po czemś bardzo słodkiem... Czemu tak na nią patrzył wuj Blas?

Senora Monika musiała ją strofować:

— Don Blas, Lorencyko, bo dla gruntów i pieniędzy, jakie posiada, zasługuje na ten tytuł...

— Będę go, matko, nazywała zawsze wujem, tylko wujem... Tak jest brzydki i niemrawy, taką mam do niego odrazę, że nie przystoi mu nic innego...

— Nikt nie może nigdy powiedzieć, Lorencyko: nie będę pił tej wody, a człowiek tyle jest wart, ile posiada... Zresztą wiesz już...

— Co to ma znaczyć, matko?

— Nic ponad to, córko moja pierworodna, o czem sama myślisz...

Lorencyka spłonęła rumieńcem gniewu.

— Więc wy... chcielibyście, żeby ten wuj patrzył na mnie dalej?

A gdy senora Monika uczyniła wymowny gest: „Wszak ci czynimy wszystko, aby się patrzył na ciebie”. Lorencyka wybiegła pośpiesznie z domu i zatrzymała się dopiero na jakimś odległym i pustym polu. Tam mogła wypłakać się do woli, klnąc się, że nie będzie nigdy żoną wuja Balmana, ale to nigdy, „co się zowie nigdy”...

— Boże mój! — myślała Lorencyka. — A więc już jestem żoną wuja Balmana, który siedzi tu, naprzeciwko mnie, w pociągu, zdążającym do Madrytu? Nie, jeszcze nie żoną dlatego tylko, że pan sędzia coś napisał, a ksiądz proboszcz coś wygłosił... Bo jednak między wujem Balmana a mną jeszcze... jeszcze... — Lorencyka zaczęła drżeć. Jak daleko do Madrytu? Jakies cztery godziny jazdy... I gdy będzie w stolicy, sama z nim, swym mężem, swym panem i władcą, na nic wszystko... Nie, żeby wuj Blas był tak brutalny, jak jest odrażający, lecz czy mogłaby tracić przytomność i rozplýwać się we łzach, ilekroć zbliży się do niej, nazywając swoim „skarbem najdroższym... wybranką serca?...” Będzie musiała, jak wszystkie ofiary nieszczęśliwych małżeństw, przejść chwile udręki, aby się wypełniło prawo boskie, choćby dusza i ciało protestowały! Czyż nie wyszłam zamaż? Czy nie okazałam się na tyle tchórzliwa, iż nie zdołam rzucić się do studni lub się powiesić na belce w swoim pokoju? Więc muszę teraz milczeć... Lecz jeśli nienawidzę tego człowieka, jeśli nie zdołam się przyzwyczaić, jeżeli mnie przeraża jego widok... Dźwigaj swój los, Lorenzo Balmana, bowiem nie jesteś już Lorencyką... Szturchanice i razy ojca, litanje złorzeczeń i gróźb matki, a w dodatku i rady proboszcza, który, widąc to, zbłądził, chcąc połączyć stworzenie boskie z tworem samego Szatana... wszystko to sprawiło, że oto jestem tu, teraz, w drodze do Madrytu, jako żona

człowieka bogatego, to prawda, lecz nad miarę szpetnego i wstętnego”.

Tak rozmyślała biedna, nieszczęsna Lorencyka, podczas gdy pociąg chłonał kilometry, zbliżając się do Madrytu. Gdybyż ta podróż trwała wiecznie! Gdyby były naprawdę bezkresne te pola kastylskie, suche, płaskie i szare, ciągnące się, rzekłbyś, nieskończenieli... Lecz wiedziała Lorencyka dobrze, że czas upływa, że pola przeminą i pojawią się wreszcie miasta, skłonne pokryć wszystko za sprawą pieniędzy... A wuj Balmana tyle ma pieniędzy, tyle!... Tu przecie, obok niej, w walizie, kupionej w stolicy, leżały kosztowności i banknoty... Lorencyka dotknęła jej ręką. Jaką możnaby odbyć podróż za to, co się tu kryło! Jedną z tych podróży poślubnych, o których czytała w powieściach... Lecz jeśli mężem musi być Blas Balmana, czyż nie lepiej skończyć raz z tem wszystkim i, niby jagnię, z rezygnacją przyjąć śmierć?...

Pola... Wsie... Smutne stacje wiejskie... Lorencyka przeżywała etapy swojej Kalwarji. Jenó dwa czy trzy razy wyjrzała przez okno, gdy na peronie jakiejś większej stacji spostrzegła młodą parę, zapewne szczęśliwych narzeczonych albo małżeństwo... Poczem, zgarbiona na swem miejscu, pogrążała się w troskach, myśląc z przerażeniem o życiu, jakie się miało dla niej zacząć... „Gdyby mnie tak widział don August... On, co chciał dla mnie księcia... a przynajmniej kogoś niepospolitego”. Łzy zabłyśły w jej oczach, a piersią szarznął skurcz serca. „Nie, nie mogę... Otworzę drzwiczki, gdy wjedziemy do tunelu i rzucę się... Gdyby nie było

ludzi... Lecz, gdyby nie było ludzi, *on* rozmawiałby ze mną i poznałby wszystko..." A *on*, pełen dyplomacji milkliwej, nie zdradzając ani ciekawości, ani zniecierpliwienia, palił cygaro po cygarze, uskuteczniając pracowite trawienie weselnej uczty... Rzeczywiście, wyglądał potwornie senor Blas Balmana, o twarzy podniecone nadmiarem spożytych potraw i napojów, kołysany marzeniami małżeńskimi, które miał prawo podsycać... Lorencyka spoglądała nań ukradkiem i strach jej rósł w miarę, jak poznawała lepiej tę postać odrażającą i groteskową, którą już miała na zawsze przed oczyma. Na zawsze!

Jakiś młodzieniec, wytwornie ubrany, który wsiadł do tego samego wagonu drugiej klasy, patrzył na nią współczująco, jak gdyby się czegoś domyślał. Był to, niewątpliwie, mieszkaniec stolicy, o wyglądzie bardzo inteligentnym. W pewnej chwili, gdy wuj Balmana zaczął kiwaniem głowy towarzyszyć swemu chrapaniu, młodzieniec ów spojrzął na nią z uśmiechem, mówiąc: „Żał mi cię, dziewczyno... Jakto, pani tak ładna i subtelna, mogła poślubić podobną figurę?”

A Lorencyka takby pragnęła opowiedzieć mu całą historję i zapytać, czy jest na świecie sprawiedliwość, czy słusznie było sprzedać za grunta, za owce i chałupy dziewczynę młodą i pełną złudzeń, o duszy głębokiej, temu wujowi, którego właśnie młodzieniec widział... i słyszał, bowiem senor Blas Balmana, zmęczony, prawdopodobnie, milczeniem żony, zdecydował się przespać hałaśliwie skutki wypitego wina...

Nieznamy wysadł na jakiejś większej stacji, ze-

gnając Lorencykę ponownym uśmiechem, co, zda się, radzi: „Proszę nie robić sobie nic z tego zwierzęcia”. Jakże mogła nic sobie nie robić?...

Znowu ciągnęły się żółciejące pola i wioski zakurzony, rozsiane na równinie... Pociąg mknął, nie zatrzymując się na przystankach i mniejszych stacjach, przystając zaś na większych... Czasem przebiegał inny pociąg w odwrotnym kierunku, pociąg, co dążył z Kastylji ku zielonym i wilgotnym polom Północy. Niekiedy — znacznie dalej — aż ku morzu... O, rozpacz!... Czemu nie ona jechała jednym z tych pociągów? Czemu, korzystając ze snu Balmany, nie pochwyciła walizki, kryjącej kosztowności i pieniądze, i nie uciekła?... Tak było łatwo! Wuj Blas spał głęboko, zwiesiwszy głowę na pierś. Spała również jakaś stara wieśniaczka, siedząca na drugim końcu wagonu... Tak łatwo było uciec! Ona, *Uczona*, nie lękała się świata. Z pieniędzmi dojedzie do morza, z pieniędzmi wsiądzie na statek i dotrze do tych krajów odległych, które wydawały się bliskie jej duszy, bo odkryła je i zaludniła Kastylja, sucha i uboga Kastylja... „Tam” mówiono po hiszpańsku. A ponieważ umiała szyć i haftować, znalazłaby pracę... Gdyby tylko znalazła odwagę!... Przesunęła ręką po czole i zbliżyła się do okna, szukając powietrza i światła. Zmierzchało. Blisko już Madrytu, ponad jakimś gajem, zachód krwawił niebo, i, kładąc na obłokach fioletowe odbłaski, tworzył dziwny krajobraz, krajobraz chimeryczny, w którym ciemna siność chmur była dalekim pasmem gór, a niżej, bladezielony widnokrąg był niby łagodny la-

zur morza, co wabiło ku sobie pieszczotliwie... Uciekać, uciekać! Własny jej kraj, poważny i zrezygnowany, zapraszał tym oto mirażem do ucieczki... Zapadał wieczór. Błyskały światła, zapalano zegary stacyjne. Gdy mijano jakąś wioskę, odezwały się dzwony. „Cierpieć, ugiąć się w męce”, — radziły dźwięki dzwonów... I cały krajobraz, już mroczny, smutny i ponury, powtarzał to samo: „Cierpieć, ponieść krzyż”...

Hasał, głosy i potok światła... Duża stacja, ale — nie Madryt... Po drugiej stronie peronu — inne wagony, inna lokomotywa i inni podróżni, dążący w odwrotnym kierunku — czytała to wyraźnie na tabliczkach wagonów — ku Santander, Vigo, Coruna, to znaczy — ku morzu... Było już za późno. Niemożliwe. Skutkiem wstrząsu pociągu i zgiełku na stacji, wuj Balmana otworzył oczy. „Uczona”, zwyciężona, przysiadła na swem miejscu, przyjmując krzyż losu...

Lecz oto Blas znów zamyka oczy i chrapie, zwiejszy głowę na pierś i położywszy na kolanach czerwone, mięsiste ręce... Jak daleko do Madrytu? Godzina jazdy najwyżej... Lorencyka spojrzała na starą wieśniaczkę, siedzącą na drugim końcu wagonu. Nie spała już, jeno się modliła, pełna, jak widać było, ekstazy, obca temu, co ją otaczało. Lorencyka chwyciła małą walizkę i, patrząc na wuję Balmanę, zastygłego w szczęśliwie zwierzęcym śnie, otworzyła powoli drzwiczki, i, minawszy peron, wsiadła do innego pociągu, bez wahania i drżenia, czując, że czyni rzecz słuszną i konieczną... Dopiero, gdy się znalazła w wagonie, zadrżała, rozumiejąc, że wuj Blas mógłby się obudzić

i, stanąwszy w oknie, wołać bez żadnej ceremonji... Byłoby to jej zgubą.

Który pociąg ruszył? Jej, czy też — *jego*? Jakis podróżny, człowiek poważny i sympatyczny, zauważywszy niepokój kobiety, rzekł:

— To my jedziemy... Pani — daleko?

Lorencyka zaczerwieniła się i nic nie odpowiedziała. A pokrywając uśmiechem roztargnienie, zbliżyła się do okna, myśląc, że cienie wieczorne ochronią ją.

Wówczas dopiero odetchnęła. I drugi pociąg też ruszył, w głąb równiny, ku Madrytowi. Nie słysząc było krzyku, nie zobaczyła ramion, wzniesionych w górę, jak gdyby chciały ją chwycić, zagrozić jej... Ujrzała tylko, jak oddalały się i znikały czarne wagony, a czerwona latarnia ostatniego wozu błyszczała przez jakiś czas, okrążyła, niby rozżarzona gwiazda, co zapada się w ziemię...

POWSTANIE.

RUFIN BLANCO - FOMBONA — współczesny poeta, beletrysta, krytyk i socjolog wenezuelski.

Napisał: „*El hombre de fierro*” („Żelazny człowiek”); „*La mascara heroica*” („Bohaterska maska”); „*La evolucion politica y social de Hispano — America*” („Ewolucja polityczno - społeczna hiszpańskiej Ameryki”); „*Cancionero del amor infeliz*” („Pieśń nieszczęśliwej miłości”) etc.

Kryspin Luz, żona jego, Marja, i Juanita Perez, napół przyjaciółka, napół służąca, udali się na kilka tygodni do *Kartaury*, posiadłości rodziny Luz.

Chodziło o to, czy Kryspin, dotknięty gruźlicą płuc, poprawi się w tych górach.

Najstarszy z Luzów, Joachim, był zarządzającym własności ziemskiej i umieścił brata w „starym domu”, folwarku, odległym o jakieś dwadzieścia minut od „nowego”, gdzie mieszkał z żoną i dziećmi. Codzień, o zachodzie, Joachim udawał się w odwiedziny do chorego brata.

Któregoś ranka przybył Joachim Luz konno, w niezwyklej — jak dla niego — porze, wołając głośno:

— Marjo! Kryspinie!

— Co takiego? Co się stało?

— Trzeba się przygotować do niezwłocznego wyjazdu.

— Do wyjazdu? Ale dlaczego?

— Właśnie wybuchła wojna. Generał Hache zrewoltował się wczorajszej nocy w Guarico.

— Ale czemu my mamy wyruszyć? — zapytał Kryspin, zdurniony żywością i niepokojem brata. — Dlaczego mamy iść, skoro tu jest zupełny spokój i będzie jeszcze przez długi czas?

— Na Boga, Kryspinie! Nie wiesz, co mówisz. Słuchaj — ciągnął dalej, zniżając głos, niemal w sekrecie: — właśnie otrzymałem wiadomości i wyraźne rozkazy od Komitetu rewolucyjnego w Caracasie. Jutro, popołudniu podnoszę tu rewoltę.

— Ty? W Kantaurze? Czyś ty szalony? A żona? A dzieci?

I spoglądając na ziarnka kawy, czerwone, dojrzałe, chwiejące się na krzewach, i na bliskie już plony, Kryspin nie tłumaczył sobie bezmyślnego opuszczenia folwarku, i, pełen zwykłego mu zdrowego rozsądku, skarcił brata:

— To zbrodnia, Joachimie! Plony, posiadłość, wszystko przepadnie. To zbrodnia. Gdybyśmy mogli, sprzedawszy kawę, pozbyć się kłopotów i zebrać nieco oszczędności... Ale tak — zrujnujemy się! Co za szaleństwo!

— A twoja rodzina, Joachimie? — zapytała z niepokojem Marja.

— Dziś jeszcze jedzie do Caracasu. Wy również powinniście się przygotować do szybkiego wyjazdu. Ja miałem zrobić rewoltę dzisiaj: takie są rozkazy. Ale niepodobna było zebrać ludzi. Więc albo wieczorem,

albo o świcie. Przygotujcie się zatem do wieczornego pociągu.

I, spiąwszy konia ostrogą, znikł na drodze pośród plantacyj kawy.

Marja zaczęła pakować się pośpiesznie, pełna trwogi, widząc już ze wszystkich stron fuzje, skierowane w swoją pierś i szable, gotowe do ciosu. Juanita płakała. Kryspin kłął wściekle. Tak dobrze było im wszystkim w Kantaurze! Jaka szkoda! Przeklęta rewolucja! I nikt nie pisał słówkiem o wojnie.

Odjeżdżając, Joachim zostawił im odezwę rewolucyjnego wodza, ogłoszoną w Caracasie, i krążącą już bezpiecznie po całym kraju, drukowaną odezwę, poprzedzającą powstanie, pompatyczną, jak każdy należyty dokument przewrotowy, w której przysięgano sobie zniszczyć tyranję, ocalić Ojczyznę i na ostrzu bagnetów przynieść — szczęśliwość. Wzywano Wenezuelańczyków, — z całą dźwięcznością górnobrzmiącego języka politycznego, — do wypełnienia wielkiego dzieła odkupienia, wzywano wszystkich ludzi dobrej woli bez różnicy jakichkolwiek względów partyjnych. Powstańcy nazwali się sami *Odkupicielami*. A rewolucja wzięła groteskową nazwę: Rewolucja odkupicielska.

Przy obiedzie postanowiono, że obie rodziny wyruszą nazajutrz, gdyż niemożliwy był tak pośpieszny wyjazd, jak tego pragnął Joachim.

Tego wieczora, ledwie się ściemniło, zaczęli nadciągać i gromadzić się *odkupiciele*. Była to biedota z pośród wyrobników i okolicznych rolników, zaimpro-

wizowane mięso armatnie, przyszłe ofiary, niezdolne nawet odcyfrować odezwy wojennej, tego ciemnego dokumentu, który tak ich entuzjazmował. Pomimo tego, i sami nie wiedząc nawet dlaczego, szli w tajemnicy, pojedynczo lub grupami, z ostrożnością spiskowców teatralnych, ukrywając broń pod opończą, i zbierali się w alejach, prowadzących do domu lub też na *patio* Trilli. Najbardziej przezorni kładli się spać pośród drzew.

Ledwie zaczęło świtać, zabrali się do ćwiertowania wołów i wnet trzystu górali, nasadziwszy na żerdzie kawały mięsiwa, obracało je przy rozpalonem ognisku. Ostrożniejsi zjadali tylko część, chowając resztę na zapas do sakw lub zawiniątek z białego płótna, które już zdążyło stać się brudne. Większość była ubrana jedynie w flanelowe majtki i bluzy; na nogach mieli trepy, na głowie — kapelusze o spuszczonej skrzydłach. Inni byli w koszuli, ten i ów przywdział palto. Biodra ściskał im podwójny pas, w którym mieli ukryte pieniądze, niektórzy nosili prosty rzemień z przyrębowaną doń skórzaną sakiewką. U każdego pasa zwieszał się w pochwie nóż góralski, mniej lub więcej długi,¹ widać było też rewolwer i sztylet. Najbardziej przewidujący przewiesili przez ramię sznur, nakształt pendentu, którego koniec dźwigał manierkę z wódką lub kawą, zależnie od usposobienia i upodobania.

Niektórzy, zahartowani w dawnych walkach, żartowali sobie z nowicjuszy, dawali rady lub opowiadali o wydarzeniach wojennych, błyszcząc starymi szablami, zdobnymi w rapcie, już to wełniane, już to utkane

z włókna. Szpady były wielce oryginalne, godne muzeum, pod względem wielkości i pochodzenia: od śpiczastych i wąskich, niby żądło, aż do kling srebrnych i szerokich, pełnych majestatu i wagi.

W zakresie broni palnej bratały się tu krótkie dwururki, z karabinami o jednej lufie do prochu; nie brakowało winchesterów, najmniej zaś było mauzerów, ocalałych z jakiejś dawnej rebelji. Wszyscy mieli *cobija* i *tasaki*, nieodłączne od mieszkańców Wenezueli.

Joachim Luz zjawił się wreszcie konno, w towarzystwie ośmiu czy dziesięciu jeźdźców, stanowiących sztab generalny: szable ich i strzelby błyszczały od nowości. Przywódca był niewątpliwie pięknym okazem męskim o dzielnej postawie, szerokich ramionach, i pewnych siebie ruchach. Jowialna mowa, szczerzy uśmiech, a nawet czarna broda, troskliwie przycięta, jednały mu mir wśród ludności. Na pierwszy rzut oka widać było, że to ten człowiek, znacznie przewyższający całą czeredę, musiał być dowódcą. Miał na sobie bluzę z kaszmiru barwy błękitnej, krojem kołnierza i zapięciem podobną do dolmana. Strój ten, spadający w pionowych fałdach, obciskał pasek, również kaszmirowy. Spodnie takież barwy były wpuszczone w lakierowane i zniszczone sztylpy, o metalowych sprzężkach. Luz dosiadał konia gniadego, ognistego, o bujnej grzywie. Nogi jeźdźcy pokrywała aż do strzemion *cobija* błękitno-czerwona, spadająca niedbale z dwóch stron.

Obydwie rodziny kończyły w domu ostatnie przygotowania przedwyjazdne. Joachim zbliżył się do gru-

py w alei, i, nie zsiadając, zsunął na tył głowy kapelusz z żółtego aksamitu, przechylił się na koniu, szepnął coś na ucho żonie, płaczącej boleśnie. ucałował synów, których podniósł służący Juan na wysokość twarzy ojcowskiej, objął Kryspina, pożegnał się z Marją, Juanitą Perez, kucharką Juaną, służącą Petronelą, ze wszystkimi, i nagle, kierując konia ku *patio*, zwrócił się serdecznie do swych ludzi:

— Chłopcy, — rzekł, — przypuszczam, że wszyscy idziecie dobrowolnie. Niechaj nikt nie czyni wbrew swym chęciom. Kto nie chciałby mi towarzyszyć, może o tem uprzedzić, jest jeszcze czas.

Najbliżej stojący odpowiedzieli pośpiesznie:

— My chcemy.

Ktoś krzyknął:

— Niech żyje nasz dowódca!

— Niech ży-y-y-je! — zawołano chórem.

Żona Joachima zalewała się rzewnymi łzami. Dzieci, przejęte ojcowskiem znaczeniem, również wybuchły łkaniem.

Podniecony wiwatami i gotowością swego oddziału, Joachim wspiał się na strzemionach, ciągnąc dalej:

— Dobrze, towarzysze, pójdziemy na wojnę. Sprawa nasza tego wymaga, ojczyzna nasza żąda. Opuśćmy domowe ogniska, uczynimy ofiarę ze swego życia, ażeby zniszczyć tyranję, i wprowadzić prawo i sprawiedliwość. Nieprzyjaciół ma siłę. Ale to nic. Niech żyje Rewolucja!

Rozległ się okrzyk zgody, gorący, entuzjastyczny:

— Niech ży-y-je!

Przewódca spiął konia ostrogą i wnet znikł pośród drzew, a za nim podążyli jeźdźni i piesi.

Żona Joachima wciąż płakała, przyciskając swego pierworodnego.

— Biedny Joachim! — westchnęła.

— Biedna Venezuela! — poprawił Kryspin. —

On — nie. On jest szczęśliwy. Czy nie widzicie, jak ten tłum towarzyszy mu wszędzie, dokąd go prowadzi: ku dobru, ku złu, na śmierć? Rzekłbyś, pan feudalny.

O godzinie drugiej, niedługo po odejście Joachima rozległy się ponowne okrzyki żołnierzy. Jedno z dzieci, wybiegłszy do ogrodu, zawołało gorąco:

— Pewno tatuś wraca.

Ale nie, to nie był wracający tatuś! Były to wojska regularne, siły rządowe, zgromadzone w Los Teques. Dowiedziawszy się o wybuchu powstania w Kantaurze, biegły stłumić rewoltę.

— Odejż, Juanie, bo cię pochwyca — zawołała stara kucharka do syna, jedynej istoty w spodniach, która, poza Kryspinem, została dla strzeżenia domu.

Poskoczył, lecz nie dość szybko, aby go nie spostrzeżono.

— Tam ucieka jakiś maruder — zauważył porucznik.

— Zatrzymaj się, przyjacielu! — zawołano.

A gdy chłopiec nie usłuchał, padła salwa: bbum, bbum, b-bum!

Na szczęście Juan biegł, jak zając, i zdołał ukryć się w ogródku.

Żołnierze podążyli za nim,

Dowódca oddziału uspokajał tymczasem z całą życzliwością rodzinę, ogarniętą niesamowitym strachem. Nie powinni się trwożyć. On nie jest oprawcą, jednak zaleca co rychlej wyjazd do Caracasu. Podczas wojny nie brak różnych złoczyńców.

Kucharka Juana, pragnąc zjednać sobie oficera, uraczyła go filiżanką kawy, którą zaczął pić z całą ufnością.

Żołnierze, ze swej strony, myszkując, bez przerwy wchodzili i wychodzili. Petronela, napół żywa ze strachu, kryła się w fałdach Marji. Juanita Perez odprawiała po cichu nowennę do świętej Ryty, orędowniczki uciśnionych, jeżeli ją ocali z tej opresji. Kryspin złorzeczył wojnie. Żona powstańca udawała spokój. Dzieci płakały. Oficer pił kawę, łyk po łyku.

Nagle, zwrócił ogólną uwagę trzask i krzyk, idący z oddali. To żołnierze podpalili stodołę, sąsiadującą z La Trilla.

Po chwili nadeszli inni żołnierze, ciągnąc jakieś ciało. Był to Juan podziurawiony kulami, umierający.

Stara kucharka, biedna jego matka, widząca syna skurczonego, bez ducha, wybucha żalosnym krzykiem.

— To nic, stara, — rzekł jeden z żołnierzy.

Zbyszy strachu, oszalała z rozpacz, stara służąca zacisnęła wyzywająco pięści, krzycząc w beznamiętnej boleści:

— Mordercy!

Jakiś żołnierz, kierując się ku umierającemu, rzekł doń z idjotycznym uśmiechem, jak gdyby to była chwila do żartów:

— Dalej, chłopcze, wstawaj, żeby służyć Ojczyźnie!

Stara, słysząc to, wybuchnęła z rozpaczą:

— Niechaj będzie przeklęta Ojczyzna!

Oficer, pełen afektacji, zaczął pocieszać bardzo żywo kobiety.

Kryspin, denerwując się niezmiernie, jał strofować wojskowych; ale wnet, padł na fotel wskutek wysiłku i naprężenia, blady, spocony, zdyszany.

Żołdacy oddalili się wreszcie, unosząc z sobą kury, poduszki, dzbanki, naczynia kuchenne, wszystko, co im wpadło w ręce.

Wychodząc, przetrząsnęli brutalnie krzewy kawowe. Pachnące ziarna, czerwone, dojrzałe, padały na ziemię, ginąc, jak bezpożyteczny deszcz okrągłych płomiennych koralii.

DZIECI AKTORKI.

LUDWIK G. URBINA — współczesny pisarz meksykański,
autor „*Antologii romantycznej*” „*Szkieł z podróży*” etc.

Piąty stycznia. Wieczór Trzech Króli. Siedząc
wraz z Tobą, Karolu, w teatrze „Principal”, spostrze-
galiśmy w pierwszym rzędzie parteru trzy maleństwa,
usiłujące wykonać tragiczną zbrodnię Makbeta — za-
bić sen. Wiedziano powszechnie, że były przyzwycza-
jone do tej straszliwej walki, podobnej do niesamowi-
tego meczu bokserckiego. Sen, niby olbrzymi negr,
jak... B... Clark, pełen fanfaronady w poczuciu swej
siły, nie zważa na to, że dzieci były bardziej kruche,
niż łodyga lilji i lżejsze od bańki mydlanej: wymierzał
im z dzikiem okrucieństwem ciosy... a one — rzecz
oczywista! — chwiały się, nie dając wszakże za wy-
graną, w bohaterskim zmaganiu tak komicznem, jak
tylko można sobie wyobrazić. Wszystkie trzy były do-
brze ubrane, i ostentacyjnie przystrojone w pióra, ko-
ronki i jaskrawe barwy: dwaj chłopcy, bardzo maleń-
cy, przypominali fryzurą, gładką z boków a przyciętą
nad czołem słynnych synów Edwarda z obrazu Dela-

roche'a, a dziewczynka, najmniejsza z nich wszystkich, miniaturowa figurynka, ugięła się pod ciężarem wielkiego kapelusza z białym piórem à la Ludwik XIII a złocista jej główka wynikała, niby z kwietnego kielicha, z błękitnej i lśniącej satyny. Strój, jaki miała na sobie, wyzywający i fascynujący, pełen elegancji sztucznej i teatralnej, dziwaczny, jak rekwizyt, był właśnie obliczony na efekt, na przyciąganie spojrzeń i budzenie szeptów podziwu.

— Kto są te dzieci? — zapytałem ciebie, opanowany ogólną ciekawością publiczności, która znajdowała w tem nowe wrażenie, wplecione w nudę widowiska.

A ty, czyniąc ów gest ironiczny, o subtelnej pikanterji, będący niby wesołą maską, kryjącą Twoje smutki, odparłeś:

— Biedactwa! To dzieci aktorki...

Ach! Dzieci aktorki! I zaraz ujrzałem obraz: w głębi — starucha o twarzy suchej i złośliwej, niby jedna z czarownic Goyi. Obok na krześle góra strojów kobiecych i masa kapeluszy, powódź piór i sztucznych kwiatów, nieopodal zaś w niewygodnych pozach kocich ta trójka dzieci, co się wydają ilustracją ze ściennego kalendarza. Matki ich musiały stać w kulisach, przybrane w stroje aragońskie, oczekując chwili wyjścia na scenę w takt „marsza kart”.

Zaczęliśmy obaj żartować melancholijnie na ten temat. Mylą się *pocziwe mieszczki*, sądząc święcie, że macierzyństwo kobiety z teatru jest macierzyństwem zwykłym i codziennym. Stanowi ono rezultat historii

miłosnej, bardzo pospolitej, lecz bardzo bolesnej, która pozostawia gorzkość i niesmak w życiu jednej z owych młodych histeryczek, co to, pośród trosk i braków, czepiają się teatru, jak ucieczki od swych nędz, jak wystawy swych wdzięków i powabów. Zazwyczaj, każda z tych kobietek, rzucających się w szeregi chórzystek, wpośród leciwych kurtyzan i zniszczonych statystów, ma swą opowieśćkę à la Boccaccio albo historyjkę niby z Paul de Kocka, snutą z czarującą zręcznością przez los. Wszystkie niemal te pocziwe stworzenia, przyzwyczajone do koczowniczej egzystencji, zatraciły świadomość ogniska domowego i żyły się z wyrokiem, skazującym je na ciężkie roboty wesołości. Nabierają — czyście nie zauważyli? — jakiejś dezynwoltury cynicznej, która czasem zmienia się u niektórych z nich, dzięki nawykowi, w zdolność artystyczną do zmysłowych poruszeń i swawolnych kupletów.

Są matkami, są niemi, zaprawdę, i nawet poświęcają się, przy sposobności, dla swych dzieci, z bohaterstwem więcej ostentacyjnym, niż rzeczywistym, to pewne, lecz nie mniej jednak wzruszającym. Pieszczą i psują — a jakże! — swoje maleństwa, i twierdzą, że dla nich pozostają w teatrze, a gdyby było trzeba, nie cofnęłyby się przed więzieniem, byleby tylko nie cierpiały ich pociechy. I... wydaje się, że te monologi, bardziej nauczone niż odczute, są recytacją jakiejś tkliwej tyrady, w której słyhać chwilami głos sufлера. Jest tu i przesadna mimika, i deklamatorskie frazesy, wzięte z wielkiego repertuaru i przystosowane do okoliczności... cały arsenał rekursów dramatycz-

nych. Naturalne uczucie miłości zjawia się tu w przebraniu operetkowym dla zwabienia uwagi, sprawienia wrażenia i złudzenia osób naiwnych a uczuciowych. Kochają swe dzieci po swojemu, bez sensu ni składu I gdzież ich wina? Zarażone sztucznością życia, płynącego pośród dekoracyj i kulis, nabierają dziwnie chorobliwego pociągu do odgrywania każdej chwili, jak gdyby słyszały bezustannie i wszędzie, natrętne wołanie inspicjenta.

Wiem o nich wiele rzeczy, bowiem w moich arlekinadach i włóczęgach nie brakło też lesage'owskiego epizodu z życia aktorów i kurtyzan.

. . .

Dom, w którym mieszkałem przed siedmiu lat był — czy go pamiętasz? — jakimś legowiskiem, o tylu zakamarkach, schowkach, tajemnych przejściach i schodach, oraz krzyżujących się korytarzach, że nawet w dzień czynił wrażenie katakumb. A ten ogród klasztorny w ruinie, o surowych łukowaniach i kolumnach brudnych a pozieleniałych, z wyschniętą pośrodku sadzawką, obok której strzelało w górę drzewo koroną tak świeżą i zieloną, iż zdawało się niemożliwem, aby w tak suchej ziemi korzenie mogły sprawić podobny cud! Mieszkańcy domu stanowili istne mrowisko pospółstwa, krążącego tam i sam: tłum studentów, aktorów, wędrownych muzykantów, wojskowych i urzędników ostatniej klasy. Jakimż sposobem znaleźli się tu pośledniejsi śpiewacy „towarzystwa Sieni”!

Oczywiście, komorne było tanie, a oszczędność jest niewzruszoną linią postępowania owych biedaków, co to ośmielała się przebyć Ocean. Rok za rokiem, w sezonie operowym, byli tu pewnymi gośćmi: drudzy tenorzy, drudzy barytoni, chórzystki i baletniczki. Wybierali najszpetniejsze dzielnice, najciemniejsze i wilgotne mieszkania, których nikt nie chciał, jakkolwiek czynsz był zdumiewająco niski. Starzy sąsiedzi, słysząc okrzyki w włoszczyźnie twardej i chropawej, zdala już mówiącej o pospolitości swego pochodzenia, wołali zwykle z uśmiechem, jak gdyby gotując się do uciesznego widowiska:

— Aha! Już się napełniła „klatka”!

Ja byłem w „klatce” tej intruzem, ptakiem, który, z pewnością, nie śpiewał, lecz zaglądał tam i sam, papląc rozmaite słowa w *divina lingua*, pomieszane i skłócone w pociesznym galimatjasie. Baletniczki i chórzystki lubiły śmiać się ze mnie do rozpuku, kiedy zaczynałem szczebiotać z niesłychaną dezynwolturą w wolapiku, ułożonym do swego własnego użytku. Tej to niefrasobliwości, okazującej bardzo wyraźnie mój tupet i brak skrupułów, zawdzięczałem, prawdopodobnie, zaufanie, jakie wkrótce zdobyłem wśród *bande joyeuse* signora Sieni. One, chciwe, wyrachowane i wulgarne, hamowały, nieraz bez skutku, namiętne wybuchy swej rasy, pchające je ku kapryśnym, kilkunastomilowym miłostkom-efemerydom, próżnym wszelkiego polotu, gdzie pocałunki i pieszczoty zmieniały się nie — jak w bajce — w wiśnie, lecz w pieniądze. Oni, egoiści, zapalczywi i brutalni wobec

swych współtowarzyszy, cyniczni i szelmowscy. I jedni i drugie — o miłej powierzchowności, wymowni, roześmiani, uprzejmi, komicznie serdeczni. Niektórzy, — tęgie głowy, fizjonomie nerwowe i ruchliwe o wyrazistem spojrzeniu, pełnem wewnętrznego blasku, jak gdyby w każdej chwili źrenice ich, uderzone światłem, krzesały iskry, niby żelazo na kowadle.

W jednej z owych koczowniczych rodzin cygannerji operowej wybuchły niesnaski. Było to w styczniu, akurat siedem lat temu. Pracowałem pod twoim kierunkiem w redakcji „El Siglo”. Co za czasy! Co za marzenie! Jaka rozrzutność młodości i wesela! Od samego rana siedziałem, nawprost okna, pełnego błękitu nieba, przy jednym końcu wielkiego stołu, pokrytego zielonem i zakurzonem suknem, i pisałem kronikę, Ty, mój drogi, — na drugim końcu — pisałeś artykuły wstępne pośród tego piekielnego huku młotów w sąsiedniej kuźni. Zamienialiśmy tu z sobą uwagi i sekrety. I wplatała się złota nić gawędy w artykuł polityczny lub krytyczny feljeton. Poszukaj w swych wspomnieniach! Za jakież to szaleństwo karciłeś mnie wówczas, młody opacie? Cóżem to uczynił nie tak, jakbyś tego pragnął, surowy analityku sumień? Poszperaj jeno pośród swoich ekstrawagancyj. Nie znajdziesz jakoś owej — największej? Dobrze, ja ci pomogę. Przypomnij sobie „Włoszka”! Aha! Uśmiechasz się. Pozwól mi odświeżyć to wydarzenie. Widzę, że uleciały ci z pamięci szczegóły, a prócz tego, myśląc o tem, doznaję uczucia dziwnej pociechy, podobnie jak gdybym oglądał swe nagro-

dy szkolne, lub odczytywał swoje pierwsze wiersze, albo otwierał medaljon, w którym ukryłem fotografię — matki.

* *

W spisie trupy Emma figurowała — czerwonymi głoskami — jako *mezzo sopran*, Antonio zaś, jako *drugi tenor*.

Emma—wysoka, elegancka, powabna, o włosach kasztanowatych, wijących się. Twarz bladej kości słoniowej, usta pogardliwe, oczy jasne i łagodne, o nieustannym wyrazie tkliwości. Antonio, mężczyzna w pełnem znaczeniu, wybujały, szczupły, (w szerokim płaszczu romantycznym, głowa nazareńska o włosach rozwichrzonych pod kapeluszem neapolitańskim, cera śniada, profil wyrazisty.

Od chwili, gdy zamieszkali w tym domu widziałem ich zawsze razem przychodzących i wychodzących. Nie rozstawali się niemal nigdy. Powracając z próby w południe i udając się wieczorem przed ósmą do teatru, przechodzili obok drzwi mojego mieszkania. Szli spleceni uściskiem ramienia i spojrzeniem oczu, zapomniawszy, jak się zdawało, o wszystkim, niby w powolnem tempie końcowego duetu. A kiedyś ujrzał po raz pierwszy tę parę ginącą mi z oczu w wąskim korytarzu, zażartowałem, mówiąc sam do siebie: „Dalibóg, parodja z „Otella...” *Nadchodzi cudowna Venus!*... Kurtyna — wolno”.

Oni—jedni, co przechodzili tak, cisi i zakochani, pośród zgietkłej wrzawy sąsiadów i kolegów. Po-

waga ich zwracała rzeczywiście uwagę na tle tej hałaśliwej „klatki”. O godzinie trzeciej po południu rozlegał się na giętkich deskach korytarza stukot obcasów z towarzyszeniem śmiechów ostrych i donośnych, głośnego nucenia, okrzyków i nawoływań, i wnet poprzedzonymi moim schroniska krążyła procesja chińskich cieni, pośpieszna defilada ciemnych postaci, podobnych do tych sylwet, jakie prestidigitatorzy rzucają na jasny ekran zapomocą odpowiednich ruchów rąk. Wstawałem od swego biurka, i, zamknawszy książkę, szedłem witać się z przyjaciółmi. Och, ten harmider „klatki”, te przygotowania do posiłku, opowiadania i plotki zakulisowe!

I tam dowiedziałem się całej historii. Antonio i Emma przeżywali miodowy miesiąc miłości występnej, która zaczęła się w Italji i, korzystając z nadarzonej sposobności, znalazła ucieczkę w Ameryce. Pochodzili z Neapolu. Antonio, żonaty i dietny, zakochał się w Emmie, swej kuzynce. Ona, ze sfery mieszczańskiej, żyła skromnie wraz z matką. Miała dwóch braci, oficerów marynarki włoskiej, niemal wciąż w domu nieobecnych. Sama była jeszcze dzieckiem — siedemnastoletniem. Antonio widział, jak rosła, rozwijała się, dojrzewała i piękniała — jak oto teraz, w miarę tego wzrastała i jego miłość. Była to młodość pełna, nienasycona, gorąca, która kazała mu wreszcie zapomnieć o wszelkim obowiązku, wszelkich skrupułach i względach, i porzucić żonę, dzieci i ojczyznę, aby złączyć swe życie z tą dziewczyną, co go — urzekła. A że na dzień każdego Nea-

politańczyka kryje się śpiewak, więc zaangażowali się do towarzystwa operowego — nie dla zysku lub sławy, jak inni, lecz aby móc kochać się daleko, wolni i zapomniani, pośród rozgwaru teatralnego, jak gdyby się znajdowali na bezludnej wyspie.

Emma promieniała szczęściem. W czasie podróży widziała to dobrze cała trupa, kiedy ich mezzosopran spędzał noce lazururowe na pokładzie, zarzuciwszy oba ramiona na szyję kochanka. Tak trwali razem w nieskończonym pocałunku, którego melodia przezwyćzała melancholijny śpiew fal.

Zainteresowała mnie opowieść, napoły żartobliwa, napoły dramatyczna, zaprawiona złośliwością i ironją. Baletnice i chórzystki prześcigały się wzajem, opowiadając mi, w pozach komicznych i ze szczególną gestykulacją, co każda z nich myślała o tych tajemniczych kochankach.

A któregoś wieczora, podczas drugiego antraktu „Fausta”, skierowałem się za kulisy teatru *Nacional*, prosząc o przedstawienie mnie tej parze: Emmie, rozkosznemu Sieblowi, pełnemu młodzieńczej świeżości, i Antoniowi, grającemu jednego z brodatych i zgarbionych starców kiermaszowych. — Powiedziałem im — czyż ja wiem! — mnóstwo komunałów, zarekomendowałem się, jak sąsiad, a po skończeniu opery poszliśmy razem do domu. Z początku byli zatrwożeni, nieufni, i tchnęli wyraźnem niezadowoleniem, które starałem się złagodzić szczerością swego postępowania. Ale potem, powaga moich ukłonów, krótkie rozmowy i rycerskość obejścia wzbudziły,

dzięki codziennemu obcowaniu, spokojną i życzliwą ufnosć.

Ugłaskałem bestję. Tego wieczora, kiedy Antonio zapukał do mych drzwi i głosem sugestywnie melodyjnym zaprosił mnie na wieczerzę, doznałem gwałtownej i źle ukrywanej radości. Poszedłem z nim i tam poznałem tajemnicę. Nie mieszkali sami, była z nimi matka Emmy, nie opuszczająca nigdy swego kącika.

Z sąsiadów zostaliśmy przyjaciółmi, z przyjaciół — kamratami.

W tem mieszkanku ubogiem, nieco zapuszczonym, jak wszystkie mieszkania drugorzędnych aktorów, o ścianach nagich, łózkach i stole z tarcic, pełnym resztek jadła, pustych butelek i nut, spędziłem najmiłsze chwile swej młodości.

Nie dzięki nim... gdzież tam! Oni wychodzili na próbę lub na przechadzkę, spleceni uściskiem i spojrzeniem, a ja zostawałem z *la mamma*, staruszką siwiutenką, o przezczystych rysach twarzy, wychudłej i skupionej, nosie wydatnym, ustach drobnych, boleśnie uśmiechniętych i oczach wielkich, smutnych, bladej oświetlonych, niby dwie krople wody Adryatyku, oświecone księżycem. Przez jakąś niejasną asocjację marzeń mistycznych *la mamma* przypominała mi Leona XIII. Stałem się nieodłącznym towarzyszem tej staruszki, jak gołąb siwej. Zapomniawszy o ławowych podbojach i wesołym towarzystwie, zakochałem się w tym zakątku ogniska domowego, jedynym

w całej „klatce”, dokąd nie docierało niepokojące i nieczyste tchnienie pożądania.

Dzień po dniu uchylałem drzwi, pytając:

— *Che fa la mamma?*

— *Prego...*

Rzeczywiście, w półcieniu, blisko ściany, siedząc na niskim fotelu, z różańcem w rękach i pochyliwszy na pierś głowę, jak gdyby przytłoczoną jakimś bezmiernym ciężarem, biedna staruszka modliła się z żarliwością, jaką widziałem tylko u kobiet włoskich. I modły te, szeptane ledwie dosłyszalnym głosem, przerywały się w jej ustach, które odpowiadały mi:

— *Prego...*

Podnosiła czoło i uśmiechała się z łagodną słodyczą, przenikniętą taką melancholią, że budziła we mnie niejasne a subtelne uczucie tkliwości synowskiej.

Zwierzenia zaczynały się zwykle, pogodne i spokojne, od wspomnień o kraju rodzinnym. Staralem się pocieszyć jej tęsknotę, kierując myśl, pełną pieśczo-ty, ku rzeczom ukochanym a dalekim. zatoce, lazurowej i rozświetnionej, rajskiemu *Pesilipo*, krwawym iluminacjom Wezuwiusza, ku Galerji Humberta, ulicom i kościołom Neapolu. Wspomnienia naiwne, wielosłowne, szczegóły nieznaczące, a pełne znaczenia, cała owa filigranowa tkanina drobiazgów, jaką kryją w sobie dusze dobre, co wiele kochały i wiele cierpiały!

I głos *la mamma*, miarowy, o wibracjach kryształowych, spokojny i rzewny, jak kantyczka, łącząc się z westchnieniami, wymawiając wyrazy tokańskie,

jedwabiste i skrzydlate, niby gołębie, stawał się czarodziejską ewokacją moich marzeń. Och, czułem rozkosz, podobną do tej, jakiej doznawał, słuchając słowika, mnich średniowieczny.

Lecz kiedy, niespodzianie, dotykając bolesnego wspomnienia, pamięć cofała się strwożona, — jaka utajona gorycz i wstydlive przemilczenie, jakie nie-domówienia ukryte, aby mi nie pokazać głębokich ran serca!

Potem, rozmowa schodziła na chwilę obecną, na synów, młodych i pewnych siebie marynarzy, których listy odczytywaliśmy razem, ja — sylabizując, ona — z rozbłysłym wzrokiem, utkwionym w kartkach, jak gdyby widziała, w precudnej halucynacji, okręt na pełnem morzu, i dwóch oficerów, powiewających chustkami ku brzegowi, mającemu niejasno we mgłach.

O Emmie mówiła mało, ale z jakimś żalem i współczuciem, tonem wyrzutu, niemal niesmaku, który osiadał na jej ustach goryczą rozczarowania. Emma była kapryśna, kochała sztukę, a wraz z kuzynem Antoniem popełnili istne szaleństwo, wstępując do teatru.

— ...Jednakże zdobędzie wkrótce sławę, *mamma*; jest jeszcze bardzo młoda.

Z grymasem sceptycyzmu i niewiary starszuszka odpowiadała mi:

— Ach!... Sławę...

Aż wreszcie, pewnego wieczora, kiedy moja wizyta przeciągnęła się dopóźna, i rozmowa stała się

bardziej serdeczna i intymna, niby dialóg dwóch serc, *la mamma*, podniecona i nerwowa, wstrząsana łkaniem, załamując ręce w przystępie głębokiej rozpacz, niezdolna już powstrzymać się dłużej, wyznała mi wszystko: błąd Emmy, uwiedzionej przez Antonia, jej ucieczkę, bo to była ucieczka, pretekst w celu zniknięcia i ukrycia wstydu, występku zdrożnej namiętności. To pewne. Tam, w Neapolu, pozostała żona, targana rozpaczą, opuszczone dzieci i pusty dom, a w twardej służbie eskadry italskiej dwaj uczciwi młodzieńcy, wierzący w powołanie artystyczne swej *sorella*, która miała wrócić w triumfie i sławie. A ona, sama poszła za kochankami, zmuszona koniecznością i uczuciem, niezdolna znieść nieobecności córki, wołąc widzieć ją taką, wydaną na hańbę, niż nie widzieć wcale, drżąc, by nie utracić na zawsze tego niepocziwego dziecka, znosząc ból i udrękę, próżną wszelkiej pociechy. I tonem nabrzmiałym od smutku, od wzruszenia i żalu powtarzała mi po wielokroć, jak gdyby niepewna, czy rozumiem dobrze jej niedolę:

— Zostanie matką, drogi mój panie. Bardzo rychno zostanie matką.

Słyszałem już o tem w „klatce“. Opowiadano sobie wiadomość *sotto voce*, niechętnym chórem. Młoda Neapolitanka nie mogła się już kryć. Wiadomo było i w teatrze. I stało się koniecznością usunąć ją od pracy.

Nie wychodziła z domu od dwóch tygodni. Wci-

śnięta w róg łóżka, oczekiwała powrotu Antonia z jakimś namiętnym niepokojem, irytującym wielce la *mamma*. Musiała Emma bardzo cierpieć wskutek wymówek, bowiem ilekroć wchodziłem, zastawałem ją we łzach, i nawet zdawało mi się, że moja wizyta przerywała zawsze jakąś gwałtowną scenę.

W nocy, kiedy miało nastąpić rozwiązanie, nieco przed dwunastą, Antonio zapukał, budząc mnie krzykiem i płacząc, jak małe dziecko:

— Z Emmą jest źle, bardzo źle, napewno umrze.

Pobiegliśmy po akuszerkę, po doktora i lekarstwa, zatrwożeni, licząc minuty, sądząc, że opóźnienie mogłoby spowodować śmierć, w panicznym lęku bliskiej katastrofy.

Nie, nie! Nad ranem nasza mezzo sopranistka wydała na świat dziecię, a ponieważ oczekiwałem w korytarzu na rezultat, naprawdę zaniepokojony okropnymi jękami chorej, Antonio wyszedł do mnie, spokojniejszy, lecz bardziej jeszcze przybity.

Ponury, ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, monologował, wykrzykując swoje refleksje i wznosząc oczy ku niebu, które zaczynało lekko różowieć. W przystępie przesądu italskiego, z żarliwością, właściwą ludziom, szukającym w religji ucieczki w krytycznych chwilach wołał raz po raz:

— Ach, *Madonna mia!*

Skłoniłem go do wyjaśnienia mi swych trosk. W owej chwili był jak gdyby skruszony i pragnieniem jego było powrócić do Italji. Tak, muszą wracać koniecznie do Neapolu, oboje, on i Emma, każde do

swojego ogniska, do swej rodziny i obowiązków. Dawno już pielegnował tę myśl, szukając środków na jej urzeczywistnienie. Postarać się — tak aby nikt nie spostrzegł jego winy — pojednać z żoną, uściskać dzieci, i skłonić Emmę do tego samego wobec swych braci. Kłamstwo szlachetne, rozłaka konieczna i słuszne zadośćuczynienie. Nawiązać zerwaną nić życia — troskliwie, jak najtroskliwiej, aby nikt nie zauważył miejsca, gdzie ją przecięła szaleńczo ślepa namiętność. A teraz, jak to uczynić? Jest już dziecko, istnieje przeszkoda, rujnująca cały plan, czyniąc niemożliwym wszelkie zatajenie przeszłości. Na dnie tych biadań odgadywałem przewrotność, niezbyt jasną, bowiem owiniętą w subtelne zasłony poczciwości, jednak dosyć widoczną dla obserwatora. Człowiek ten był egoistą i tchórzem. Brakowało mu decyzji i wspaniałomyślności; chciał być kochankiem bardziej może wskutek zmysłowości, niż uczucia, lecz przerażał go ciężar ojcostwa w takich warunkach.

W instynktownym porywie litości, nie zdając sobie z tego sprawy, rzekłem napół oburzony, napół wzruszony:

— Daj mi pan dziecko.

Antonio spojrzał na mnie badawczo, wzrokiem pytającym, zdziwiony rozwiązaniem, jakie proponowałem, i po chwili odparł z wahaniem:

— Pan jest bardzo młody.

— Więc cóż? W danym wypadku tem lepiej, Antonio. Bez obowiązków, przeszkód — podjąłem pośpiesznie i goręczkowo.

Przekonałem go, czy też uległ tylko? Była to zasadzka, jaką mi zastawił ten nędznik? Wszystko jedno! Postąpiłem tak pod wpływem współczucia względem słabych, spotęgowanego wspomnieniem mojego własnego dzieciństwa, dość smutnego.

Stałem na tem, że będzie to chwilowy depozyt. Rzetelna umowa. Wezmę nowonarodzone dziecko, a potem, gdy rodzice uznają za właściwe, zwrócę je im bez trudności.

Noc spędziłem bezsennie, strwożony własną śmiałością i nieco zniechęcony do życia. Nie znałem jeszcze maleństwa, a już było moje. Dawano mi je, jak rzecz. Czyż to możliwe? Czy matka zgodzi się na tę niesprawiedliwość?

Tak, dali mi je. Przyszedłem i zabrałem dziecko z matczynego łona, mając przed oczyma bolesną twarz Emmy, interesującą w swej bladości i rezygnacji, o żrenicach lśniących poprzez łyzy i ustach bladych, drżących. Odruch sprzeciwu, stłumiony okrzyk, głos rozkazujący Antonia, kierującego całym tym manewrem, *la mamma* w kącie pokoju, odwrócona ku ścianie, w jakimś niemem i gniewnem skupieniu, i — oto odchodziłem, unosząc z sobą przeszkodę, to biedactwo, nie mające siły płakać, wynikłe, zda się, nie z trzew ludzkich, a nakształt grzybów z ziemi, i — opuszczone.

Wiesz już, co zaszło potem, — nie opowiadałem ci? Kupiłem kołyskę, wyszukałem piastunkę, stałem się metodyczny, dobry, jak matka. Dziecko, pies-brytan, którego mi podarowałaś — i ja, tworzyliśmy

najszczęśliwszą w świecie rodzinę. Cała „klatka” za-zdrościła mi. Baletniczki zbliżały się do mego mieszkania, szepcząc, i odchodziły, powstrzymując śmiech. Ty wyrzucałeś mi tę ekstrawagancję, ale ja, przysięgam ci, czułem się z tem wszystkim szczęśliwy.

Odwiedziłem kochanków, lecz oni nie zjawili się z wizytą. W pierwszych dniach, zasypywali mnie pytaniami, potem uspokoili się, a kiedy chora mogła już wstać i poprosiła, abym ją zaprowadził do syna, *la mamma* powstrzymała gwałtownie córkę, Antonio zaś rzekł: „Nie!” z szorstkim gestem.

Emma nie sprzeciwiała się — z jakąś beznadziejną biernością. Gdyby zechciała, zwróciłbym dziecko, ale matka, po chwili namysłu, zawołała:

— Zostawiam go panu, proszę się nim opiekować. Teraz nie możemy go zabrać. Kto wie, może potem..

I podczas przygotowań do wyjazdu na Kubę, pakując walizki, zamykając kufry, w hałaśliwym zamęcie trupy ruszającej w drogę, pożegnali się ze mną, dając tysiące poleceń, i, serdecznie obejmując, nazywali swym zbawcą, błogosławili mój uczynek.

Powrócą wkrótce tu, nie wytrzymają. Wejść zobaczyć syna? Naco ta tortura? Unoszą go w swoim sercu. Emma, kierując spojrzenie ku moim drzwiom szepnęła, składając ręce:

— *Angelo mio...*

Rozstaliśmy się na schodach. Wróciwszy do mieszkania, uniosłem zasłonę przy kołysce i spostrzegłem, że dziecko nie spało. Spoglądało ze wzrusza-

jącą bezradnością niemowląt. Jego główka, jak gdyby z masy perłowej, pokryta delikatnym puszkciem złotawym, odcinała się na białym tle poduszki.

I czyniąc sobie złudzenie, że mnie rozumie, nachyliłem się nad nim i rzekłem:

— Tak, kochasiu, teraz jesteśmy już sami w „klatce”. Nieprawdaż, że wolisz tę sypialnię od domu dla podrzutków?

. . .

— A twój „Włoszek”? — pytałeś się zwykle wczesnym rankiem w redakcji, układając artykuł wstępny, podczas gdy ja robiłem kronikę.

— Och, zdrowy, pulchniutki, nadzwyczajny! Jest właśnie w trakcie stawania się wielkim człowiekiem.

Gdy malec skończył cztery miesiące, uznałem, że moja własność jest zabezpieczona. Ale nie. Listy kłamały. Listy, w których Antonio i Emma zrobili mi upominek, były obłudne. Zwiodły mnie te wiadomości, przynoszące wycinki z dzienników o triumfach artystycznych, obietnice i pieszczoty, a pod koniec dopiski nieczytelne *la mamma*.

Któregoś dnia zjawił się w „El Siglo” Antonio.

— Jakto? Już z powrotem?

— Tak. Wyjeżdżamy wkrótce. Utworzyliśmy trupę operową dla objechania Republiki...

— Więc nie wracają państwo do Italji?

— Narazie, nie...

Oplatał mnie swym makjawelizmem. Ach, hipo-

kryta! Przyszedł po dziecko... I cóż miałem począć? Oddałem je. Irytacja wzmogła się aż do cierpienia. W owym czasie przyzwyczailem się już do posiadania czegoś, do troski o kogoś, a gdy mi mówiłeś o swych dzieciach, odpowiadam ci — cóż za nierozsądek! — zwierzeniami, dotyczącymi mojego „Włoszka”.

Dowiedziawszy się prawdy — nie brak nigdy takich, co pośpieszą z przykrą dla nas wiadomością — wpadłem w wściekłość. Odebrano mi dziecko — dla zysku. Dano je jakiemuś bogaczowi, równie ekskcentrycznemu, jak i ja, za sumę pieniężną potrzebną na stworzenie trupy. Antonio został impresarjem za cenę ohydy. Ale — pytam — czy to byli rodzice, czy też — handlarze dzieci?

Gdy minęło wzburzenie, rzekłem do siebie, myśląc na trzeźwo: uczynili dobrze, i świadczy to, że zatroszczyli się o dziecko. Oddali je tam, gdzie ma zabezpieczony dobrobyt i przyszłość. Wycisnęli z swych serc ostatnią kroplę miłości. Szukając dla syna drogi do szczęścia, dali mu, w braku własnego uczucia, cudzy zbytek. Ostatecznie!...

Dotarły do mnie echa uroczystości chrztu dziecka. Wróżki z bajki obsypały je darami. Kto wystąpił w roli rodziców? Nie wiem, lecz wiadoma mi rzecz najważniejsza: Emmy i Antonia tam nie było.

Ukryłem swój zawód w szkatułce ze starymi wspomnieniami, prysniętymi złudzeniami i nadziejami utraconymi, i — żyłem dalej.

Kilkakroć w ciągu dwóch lat widziałem, sie-

dząc w „Reformie”, bogatego dygnitarza i jego żonę, w otwartym powozie. Dziecko tonęło w powodzi koronek i jedwabi. Pocieszyłem się: ja nie zdołałbym nigdy tak go ubrać.

I pogodziłem się z Neapolitańczykami, którzy, jak słyszałem, śpiewali na prowincji stare opery. Emma zdobyła szalony sukces w „Normie” (Och „Norma” w wykonaniu naszego *mezzo sopranu*, córka przywódcy Druidów, bohaterska matka!), i kochali się oboje, jak poprzednio, pełni zmysłowego żaru, rzekłbyś, w sercach swych unieśli nieugaszoną wciąż lawę Wezuwjusza.

Czy uwierzysz? Nie dalej niż sześć miesięcy temu zobaczyłem znowu „Włoszka”. Jaka zmian! Bogaty dygnitarz umarł, a wdowa znalazła się w ciężkiej sytuacji, niemal w biedzie. Szła ulicą w podniszczonej sukni i wyblakłym szalu. Prowadziła za rękę chłopczyka, o niezdrowej cerze i smutnych oczach, bladezielonych, jak dwie krople wody Adrjatyku, oświetlone promieniem księżyca. Wzatluszczonym kaszkiecie na potarganych włosach, w odzieniu poplamionem i łatanem, dziurawych pończochach i wykrzywionych trzewikach, wyglądał, jak żebrak.

Ogarnęło mnie wzruszenie. I ty byłbyś doznał tego samego uczucia. Zapragnąłem zbliżyć się do nich, porozmawiać, wspomóc.

Ale owa pani wydaje się bardzo dumna. I raptem powstrzymuje mnie myśl: cóż ja im powiem? Mo-

że chłopiec nie podejrzewa niczego, jest szczęśliwy, czuje się kochany? Poco się zbliżyć? Co też ja mu dam? Wszak ma już to, czego mu brakło — matkę!

Oto co, drogi mój Karolu, młody opacie, surowy analityku sumień, przywiodły mi na pamięć twoje słowa, kryjące tyle goryczy, — dzisiaj, piątego stycznia, w wieczór Trzech Króli.

Wieczór Trzech Króli! Twoje dzieci, — osiercone, próżne świętej pieśczoły, bowiem piękna i słodka pocieszycielka twej młodości pozostawiła cię samego wpośród ciemnego lasu, — śpią i marzą. Babcia kładzie w tej chwili upominek do każdego trzewiczka.

W lazurkowych przestworzach drga trzepot: tej nocy aniołowie otwierają okna i balkony domów, gdzie są dzieci, aby Królowie mogli złożyć swe dary.

Może i Włoszek wystawił również swój ciężki i podarty trzewik? Zrana odnajdzie gościniec.

Jeno owych maleństw drzemiących nie odwiedzi zapewne niebiański orszak.

— Biedactwa: to dzieci aktorkil...

NAUCZYCIEL.

VARGAS VILA — współczesny beletrysta kolumbijski.

Napisał: „Alba roja” („Czerwony świat”); „Maria Magdalena”;
„Los discipulos de Emaus” („Uczniowie z Emaus”);
„Los Parias” („Parjasy”) etc.

W złotawo - sinej bladości rozfalowanych pól
ucichł szmer deszczu;

drżał gaj w wilgotnej szacie, obłany ostatnimi
promieniami zachodzącego słońca;

wiatr muskał go głęboką pieszczotą, pełną szczę-
śliwości;

pole stało uśmiechy bladym w górze niebiosom
barwy mieniającej się zieleni;

wokół tchnęło spokojem;

rzese ptaków zawodziły zcicha swe trele:

księżyc, wynikając z poza obłoków przedziwnie
białych i przezroczystych, był niby anemon, umiera-
jący w kryształowym więzieniu wazonu;

wioska, o domostwach zgrupowanych w cieniu
starej dzwonnicy, podobna była stadu, uśpionemu
pod opieką sędziwego pasterza;

krajobraz był pełen szmerów, które noc ucisza-

ła zwolna, łagodna, niby matka tkliwa, usypiająca dziecko;

jakiś podróżny, dosiadający chudego muła, przebywał wbród rzekę;

w zamglonej ciszy owego przedwieczera jeździec wydawał się zjawą; fantasmagorją też wydawał się jego rumak;

oboje wkroczyli do miasteczka przez ulice kamieniste i nierówne, zabudowane ubogimi domostwami, co w owej chwili miały wygląd szkiców piórkiem Munkacsy'ego.

puste, tajemnicze, w mglistem zadrzemaniu;

podróżny był cieniem, co pogrążył się w cieniu, i szukał jedyne go w miasteczku zajazdu;

znalazł go wreszcie;

gospoda drzemała, biała i niema, pośród jasności swych murów i ciszy ogrodów;

rzekłbyś, grobowiec mahometański;

jeździec na mule wkroczył przez bramę wejściową;

długa postać rozplynęła się w pomroce;

widmo pośród widm;

był to Nauczyciel szkolny, przybywający do nowego miejsca pobytu.

* * *

Przybycie nowego profesora nie wzbudziło w wiosce ani zbytniego poruszenia, ani też nie sprawiło wielkiego wrażenia;

raczej okazano mu wiele niechęci i lekceważenia;

spodziewano się ujrzeć Nauczyciela młodego, pełnego ogłady i wdzięku, jak ci, co świeżo opuścili Szkołę Normalną, wtajemniczonego w nowe metody pedagogiczne, mistrza w gimnastyce i sportach, biegłego w nowoczesnych literaturach, deklamującego sentymentalne wiersze i wciąż cytującego pedagogów niemieckich;

a zobaczono starowinę wysokiego i chudego o wyglądzie i ruchach Don Kichota, pełnego niezmiernej dystynkcji, którego surowe oblicze zdolne było nakazać mores najśmielszym nawet nicponiom;

miejscowi donżuani i lekkoduchy, którzy liczyli na nowego towarzysza eskapad, co to przywiezie im, gwoli naśladownictwu, wraz z swawolną kroniką stołeczną, najnowsze modele krawatów, byli rozczarowani;

niemniej rozczarowane były dziewczęta na wydaniu, bowiem spodziewały się gładkoliciego przybyśa, który, zachwycony ich wzrokiem, położy kres dziewczym tęsknotom;

rozczarowane były i matki, wciąż marzące o przyszłych zięciach;

i w równym stopniu — niespokojni uczniowie, co się spodziewali ujrzeć nauczyciela pełnego życia, który im powie rzeczy nowe według nowych metod, oraz zaprawi do nowych ćwiczeń cielesnych;

wygląd nowego Nauczyciela budził pełen lęku szacunek;

tak orzekł Proboszcz, po grzecznościowej wizycie, w czasie której rozmawiano o rzeczach wielce czcigodnych ku niezadowoleniu księdza, jowialnego gawędziarza, nieprzyjaciela poważnych spraw;

potwierdził to i Burmistrz — człowiek majątny i leciwy — po wprowadzeniu Nauczyciela na nowy urząd;

dzięki nim oraz *Gazecie Urzędowej* dowiedziano się, że przybysz nazywa się don Faust Castelo;

ludzie ci nic nie wiedzieli o Getem i jego książkach, i dlatego nie szukali analogij literackich, zapewne nie trudnych do wykrycia, między wiejskim Nauczycielem a bohaterem poematu;

w gospodzie, gdzie się zatrzymał, mówiono jedynie — i z podziwem — o niezliczonych księgach, jakie wiozł w zniszczonych skrzyniach, oraz o wielu rzadkich instrumentach, wypełniających jego mieszkanie, które musiały być przyrządami inżynierskimi, o ile nie były — czarnoksięskimi;

człowiek ten żył zamknięty, zda się, w swem milczeniu, i to stanowiło jak widać najwyższy wyraz jego egzystencji;

nie rozmawiał z nikim, chyba w razach niezbędnej konieczności;

a gdy mu się to zdarzało mowa, jego była krótka, jak — człowieka, co komunikując się z innymi, czuje wstręt i zmęczenie;

jadał przy stole sam, i sam błędził po placach i ulicach, jak gdyby oswajając się z zaułkami i zakamarkami miasteczka;

miał i kochał, zda się, dwoje jeno przyjaciół: Milczenie i Samotność, i w asyście ich, rzekłbyś — dwojga widm, spędzał czas;

nie szukał niczyjego towarzystwa, czy to w domu, czy poza domem, i z nikim nie wszczynał gawędy;

milczący paw, taki mu nadano przydomek dla uroczystego wyglądu i głębokiej powagi;

ani ten wygląd, ani milczenie nie powstrzymały proboszcza przed zbliżeniem się do niego, bowiem ów stary plotkarz i wścibski nie cofał się nigdy przed podobnem przedsięwzięciem, i nie ścierpiałby, aby kto inny opanował w mieście dziedzinę nowinek; nikt też, bardziej od niego, nie zapuszczał się w gęstwinę obmowy, i wydawało mu się szczególnym dyshonorem być przez kogoś w tych sprawach wyprzedzonym;

a celem tego zbliżenia było raczej wybadanie Nauczyciela, niż katechizacja, — bowiem w pierwszym kierunku był nader zręczny, do drugiego zaś brakło mu siły ducha;

badanie w sprawach religijnych, gdyż w owych czasach debatowano gorąco nad wykształceniem świeckiem, zaprowadzonym przez Rząd, i frazes „szkoła bez Boga” był na ustach wszystkich proboszczów, niby orzech w zębach gryzoni;

misja okazała się daremna, i przedsięwziął ją bezpożytecznie, ponieważ don Faust uniknął z wielkim taktem i przezornością zasadzki, z pytanego stając się pytającym;

proboszcz, choć człowiek przeciętny, nie był tępy, zyskał więc pewność, że Nauczyciel, jeżeli nie był umysłem religijnym, nie był też gwałtownym sekciarzem, dążącym do deprawowania dzieci zapomocą antireligijnej propagandy;

don Faust mógł oddać się swej pracy raczej w atmosferze powszechnej obojętności, niż aprobaty;

dzieci rychło się uspokoiły, tracąc strach, jakiego ich nabawiła surowa i milcząca postać starca, uważając, że jest wobec nich przyjazny a nawet tkliwy, lubo pełen jakiejś łagodnej powagi, niby ojcowskiej troskliwości;

matki były szczęśliwe, że ten Wielkolud nie pożera ich pociech;

między miasteczkiem i Nauczycielem, zapanował rozejm;

i Szkoła stała się niby wyspą Pokoju.

Miasteczko było położone na wysokiej regli andejskiej, pośród rozległej doliny pod czarownem niebem zawsze czystem i jaśniejącem boskim lazurem;

wysokie pagórki okoliczne otaczały je półkolem, a kryształowy strumień szemrał dźwięczne melodie, płynące przez pobliskie niwy i ogrody;

śsiednie pola i pastwiska były sielsko piękne

i przywodziły na pamięć patryarchalne krajobrazy biblijne;

na ścieżkach polnych, woniejących zapachem róż, w łagodnej świeżości zielonej równiny, czystej, niby lśniący szmaragd, wilgotniejszej pod wolnem tchnieniem zmierzchowem, widywano starego Nauczyciela, błądzącego po ukończeniu zajęć szkolnych;

odziany był czarno, w szerokim, nieposzlakowanym surducie, staroświeckim, błyszczącym raczej dzięki nieumiarkowanemu użyciu szczotki, niż wskutek ilości lat; dookoła jego szyi widniał duży krawat jedwabny, dwakroć owijając kołnierzyk, bardzo wysoki i sztywny;

ta szata archaiczna dawała mu wygląd jednego z adwokatów epoki Ludwika Filipa, zlekka upodobił się do surowej, purytańskiej sylwety Guizota;

ręce miał zawsze założone do tyłu, a w jednej z nich trzymał czarny kapelusz szerokoskrzydły, kapelusz jaki noszą kwakrzy;

zamyślony i milczący, przechadzał się stary samotnik po drózkach, obok cienistych gajów, po żyznych rolach i brzegach rzeczki, hen, aż ku miejscom odległym,

dla tego, co umiał patrzeć, obcy pospolitej ciekawości, piękny był ten starzec — pięknnością istot i rzeczy, dotkniętych nieubłagane przez Fatum; pięknnością grobowca, dostojnego w swem opuszczeniu i ruinie, urokiem życia na zamierzchłej rubieży Śmierci, niemal już na łonie śmierci;

miał wyniosłe czoło, jedno z owych czoł, oto-

czonych melancholją i surowych, które wytrwała myśl poryła w brzozy, podobnie jak piorun ryje ślady na szczytach, które nawiedził;

pomiędzy brwiami miał zmarszczkę, niby cień zadumy bezustannej i władczej, kładący się na kryształ oczu jasnych, marzących, rzeczby można, przeczytych, gdyby nie mgła smutku, jaką pozostawiają lzy, co sobie tu wyźłobiły ulubione koryto;

usta smutne, bo, wykrywszy czczość słów, niewiele już mają do powiedzenia; a wyrzekłszy wszystko uczyniły, zda się, ślub milczenia; usta o zmarszczkach, pełnych goryczy i beznadziei, na których zamarł pocałunek;

miał gęstą grzywę szpakowatą, zaczesaną do tyłu, obnażającą gdzieś gładkość czaszki;

uporczywa myśl położyła pieczęć spokoju, na twarzy pełnej i troskliwie wygolonej, gdzie wszystkie rysy, silnie zaakcentowane, uwypuklały odwieczne wzruszenia duszy ludzkiej;

ręce jego wrażliwe, harmonijne, blade, o palcach długich i wąskich, uderzającej białości, czyniły, rzekłbyć, światło, gdy się poruszały właściwym sobie gestem powolnym, rytmicznym.

W bezgrzesznym krajobrazie, jaki tu znalazł, Nauczyciel błędził aż do zmęczenia, a wówczas siadał na jednej ze skał, tworzących półkole, otaczające miasteczko, które w ostatnich, zamierających blaskach zachodu, uchodziło jakby w dal, zwolna, łagodnie, jak i jego życie — próżne przyszłości.

Wspominał...

Niby wstuchany w melodię odległej muzyki, lubił kierować lot swej myśli ku przeszłości, ku duszy czegoś, co było bardzo piękne i bardzo drogie.

Swojej przeszłości...

Popłynąć lubił w górę rzeki swego żywota, pośród kwiatnych brzegów wspomnienia.

Dotrzeć aż do wielkiego, jasnego ogniska, czuć się jakby wciągniętym w orbitę słońca...

Tak czynił;

i wspominał swoje lata minione;

przyszedł na świat w bogactwie, w staropaniejskiej siedzibie, zakątku andejskim, starożytnym, niemal klasztornym;

osierocony w młodym wieku, wcześniej został panem swego majątku i życia;

i roztrwonił jedno i drugie;

studjował, podróżował, zdobył sławę, jako uczony;

jego prace z zakresu matematyki zjednały mu wielce zaszczytne wzmianki ze strony akademij, krajowych i zagranicznych;

jego wynalazki z dziedziny hydrauliki dały początek wielu przedsiębiorstwom w tym kraju pierwotnym i nierozwiniętym;

w te wynalazki i przedsięwzięcia włożył nietylko mózg, lecz i kapitał;

i doznał niepowodzenia;

jednak największe w życiu nieszczęście przyniosło mu serce;

ono opanowało i pognębiło wszystko;

pomimo wiedzy okazał się człowiekiem przeciwnym, jak wszystkie charaktery sentymentalne;

nie stało mu siły, aby wolę mózgu narzucić swemu sercu;

kochał innych więcej, niż siebie;

czyż nie jest to droga wszystkich mąk krzyżowych?...

źródło Kalwarji tkwi w naszym własnem sercu;

biada temu, kto posłuchał jego głosu, i niem kierowany wkracza na szlaki miłości! Będzie zwyciężony...

serce to ślepiec - włóczęga — dokąd może nas zawieść, jeśli nie nad przepaść?

a on pozwolił sercu kierować sobą, pozwolił opowiadać się przez serce...

i dlatego uległ, zwyciężony...

Ożenił się bardzo młodo, by spłacić dług honoru, i został zdradzony przez kobietę, której dał swoje nazwisko;

żyjąc w społeczeństwie, stoczonym przez wszystkie trucizny, gdzie nie istnieje prawo, czyniące załość honorowi — prawo rozwodu, musiał honor swój zostawić, niby jedną jeszcze błyskotkę, na łonie cudzołożnicy, aby go tarzała po wszystkich targowiskach i kalała w ramionach wszystkich mężczyzn...

i przypadła mu w udziale śmieszność, będąca jedyną pociechą, jaką społeczeństwa szafują wobec tych, co ponoszą ofiary;

ucieając przed nią, opuścił miasto - świadka swej niedoli i schronił się do odległego miasteczka,

zagubionego w górach, gdzie zawód inżyniera pozwolił mu znaleźć stanowisko poczesne i korzystne;

zagrzebał się tam, szukając Zapomnienia dla swego nazwiska i swego bólu;

i może przebaczył... bowiem żył sercem, a serce nie ma godności;

serce przebacza, bo serce zapomina;

mózg nigo / nie przebaczy, bowiem mózg nie kocha;

rozumieją miłość, jakże mógłby ją odczuwać? a on był człowiekiem uczucia, nie — mózgu;

uczuciowiec nie zna dumy, jaką daje najwyższa zemsta: zbyt jest słaby, aby jej dokonać;

kocha, lecz nie — siebie, przeto poznaje udrękę manowców, i widzi, jak serce jego gubi się pośród nich;

tylko mózgowiec nie wie, co to — zdrada i klęska — tylko on zna dumną rozkosz strącania bożków, które pragnęły panować nad naszym sercem, i rozkosz oglądania ich popiołów, pomieszanych z ruiną ołtarzy, na których zwycięzca zatknął banderę swej pychy, niby triumfujący sztandar;

nie był człowiekiem wyższym, jeno biedną istotą, stworzoną do miłości i składania hołdów, a jego dusza trwała na klęczkach przed Kobiętą, i szukała wszędzie, pod wszystkimi szerokościami, fatalnego bóstwa, aby je uwielbiać, cierpieć tortury i ginąć pod jego zwycięską stopą;

czuł rozkosz ofiary, nie mógł żyć bez tego krzyża

Boskości jakim jest Miłość, i wciąż wyciągał ku niemu rozpaczliwie ramiona;

miał w sercu nieugaszone pragnienie miłości i szukał ciągle dobroczyнного źródła, któreby je zaspokoilo;

i znalazł je wreszcie w owej wiosce górskiej, we wspaniałej samotności tamtych pól, które zda się, odczuwały pieśczętę słodkiej, wiecznej wiosny;

w domu, gdzie znalazł gościnę, było dziewczę piętnastoletnie, ledwie dojrzewające, którego promienna uroda cieszyła starych rodziców, ją jedną mających; duma całej wioski, dziewczyna stanowiła przedmiot westchnień wszystkich mężczyzn;

gdy ją ujrzał po raz pierwszy, uczuł, że drży jego zranione serce, w którym ten boski wizerunek odbił się, niby na zmaczonej powierzchni niespokojnej wody;

był wówczas młody, przystojny, posiadał resztki fortuny i tę umiejętność podobania się kobietom, która jest właściwa mężczyznom, żyjącym sercem;

ona, marzycielka i romantyczka, wróciła właśnie ze szkół, lubiła wiersze, kwiaty i muzykę; śpiewała nieraz dźwięcznym głosem, co przypominał symfonię dalekiej wody, szemrzącej nocą;

on pisał poezję, i umiał je recytować akcentem tkliwym i gorącym, głosem powolnym, wnikliwym;

atmosfera samotności, jaką oddychali oboje, zbliżyła niebawem ich dusze; pokochali się czysto, gorąco;

ona czuła, że się naradza do życia miłosnego, on

zaś — odradzał się przy niej, płonąc czystym żarem owych pól, co otaczały jego namiętność tkliwością rajskiej sielanki;

zapomniał o swych ranach miłosnych, a ona poznawała sprawy miłosne, których jeszcze nie znała;

pokusa zmysłów, utkana z płomiennych marzeń i smutków zwyciężyła ich któregoś dnia w polu, w zdradzieckim cieniu osypanego kwieciami drzewa pomarańczy;

drżące gałązki uwieńczyły ich gody, niby zaśluby młodych bóstw pośród czaru starożytnego gaju; idylla trwała dalej w ścianach domu, w ślepej nieświadomości wszystkiego, co ich otaczało;

lecz jeśli ślepa jest Miłość, nie są ślepi inni, obcy jej;

czujne oczy śledziły ich, i któreś nocy ojciec i uzbrojeni bracia dziewczyny zastali go w jej pokoju;

udało mu się zbiec oknem i dotrzeć do pola, unikając pewnej śmierci;

nie mógł im dać zadośćuczynienia, żeniąc się z swoją kochanką, bowiem żyła jeszcze żona, która go zbezczeszczyła;

jakże mógł ocalić honor dziewczyny, skoro ludzie nie zwrócili mu jego własnej czci, a prawo religijne i społeczeństwo wzbraniały odzyskania jej;

tamta kobieta tarzała ją w błocie, zbrojna w sankcję tego, co się uważa na ziemi za najświętsze, a że Krzywdą rodzi Krzywdę, — inna kobieta musiała cierpieć wskutek tej niesprawiedliwości;

wahając się pomiędzy śmiercią a ucieczką, —
wybrał tę ostatnią;

i tej samej nocy opuścił wioskę, zostawiając
w niej — serce;

wiedział, że brzemienna kochanka wydana jest
na brutalność swych bliskich, a nie mógł nic uczynić
dla jej obrony;

uszedł z rozdartem sercem, bo kochał bardzo tę
kobietę, i kochał też z gwałtownością miłości, będą-
cej nim samym, ową istotę, którą ona nosiła w swem
łonie;

miłość ojcowska wybuchła w nim, zagłuszając
wszystkie inne uczucia;

i odtąd myślał wciąż o istocie, która się jeszcze
nie narodziła, a już sprawiała mu udrękę;

a miraż tej miłości nowej i nieznanej tak był
wielki, że wypełnił cały jego widnokrąg;

pociągnięty nim i olśniony, pragnął wrócić do
wioski, złączyć się z dwójgiem istot ukochanych...
uzyskać przebaczenie... założyć ognisko domowe...
zakończyć okres samotności swego serca i swego ży-
cia;

życie oderwało go stąd brutalnie i zniszczyło
motyla jego marzenia, marzenia o tem, żeby podjąć
złamane życie, kochać i być kochanym, i kość odra-
zu wszystkie niedole, łkające w jego sercu;

wkrótce dowiedział się, że kochanka jego wyszła
zamąż, niemal natychmiast, za jakiegoś dawnego na-
rzeczonego, który nie wiedział o jej błędzie, albo go
przebaczył;

dowiedział się też, że w parę miesięcy potem
urodziła się ich córka, a młode małżeństwo opuściło
wioskę, dla uniknięcia plotek;

napróżno czynił poszukiwania;

zgubił wszelki ślad, a gdy po latach owdowiał,
zapragnął odszukać córkę i dać jej trochę majątku,
jaki posiadał;

lecz nie mógł jej odnaleźć;

to zamroczyło ostatecznie jego serce;

miłość do tej córki, nieznanej i dalekiej, była
ostatnią jego miłością i jego ostatnią romantyką;

zaczął kochać ją ślepo, namiętnie, nigdy nie wi-
dząc i nigdy nie spotykając;

uczucie to, stając się manją, pochłonęło go kom-
pletnie, niby szczegółna jakaś postać szaleństwa;

żył tylko dla niej;

i zapomniał o wszystkim innem;

tymczasem nadciągnęła katastrofa materialna;
jego niesfrasobliwość, naukowe doświadczenia
manje uczonego zniszczyły kapitał;

i dosięgła go ruina w starości;

ruina zupełna, nieodwołalna, bezlitosna;

zrazu było to ubóstwo, następnie — nędza;

poznał Głód, Niewdzięczność, Zapomnienie;

czuł, jak rosną poza nim, niby fale morskie nad
rozbitym statkiem;

nie pamiętali o nim ani przyjaciele, ani uczni-
wie;

książki jego służyły jeszcze, jako podręczniki,

ale zręczne dłonie wydawców wydarły mu wszelkie do nich prawa;

poezje jego młodości wygłaszały jeszcze dusze zakochane, lecz nie wymawiały zapomnianego już imienia twórcy, który je napisał;

i cisza zaległa dokoła niego, i w nim samym;

nie pracował już, nie pisał, o nic już nie prosił;

zdruzgotany, nieszczęsny, bezsilny, czekał śmierci;

i w owej chwili ostatecznej niedoli i upadku, zaproponował mu jakiś dawny uczeń, będący na wysokim stanowisku ministerjalnym, tę posadę nauczyciela szkolnego, w owym odległym miasteczku, co nań patrzyło niechętnym okiem, bowiem był stary, poważny i milczący, i lubił przechadzać się, sam ze swym cierpieniem, w godzinie odwieczera kiedy wszystko, co w nim zamarło, podnosiło, zda się, swój głos uśpiony.

Boleść czyni dusze smutnemi, a on pielęgnował swój Ból i Samotność, niby dwie ostatnie relikwie swego życia, co dla jego serca były jakby niejasną tajemnicą pieszczoty;

przyzwyczaił się do melancholji, towarzyszki samotności i zaczynał zapominać, zaczynał uśmiechać się do życia z wyrazem rezygnacji, próżnej nadziei;

życie jego odznaczało się klasztorną surowością, i znalazłszy tu schron przed swym nieszczęsnym losem, godził się przeżyć, nie licząc, tyle dni długich i smutnych, ile mu jeszcze pozostało;

miłość do córki nieznanej i dalekiej była jedy-

nem światelkiem, pełgającym w jego sercu, i wyrzekłszy się już pięknego szaleństwa spotkania jej kiedyś, przywykł do rezygnacji, jak do szczególnej i łagodnej postaci tliwości;

i w niej zastygało spokojnie jego serce — na kłęczkach przed Wspomnieniem;

a z milczenia wynikało jakieś powolne błaganie, niby słodka harmonja, która wypełniała całe jego życie, jak boski promień w ciemnościach.

Pośród uczniów Fausta był chłopiec, najmniejszy ze wszystkich, rozkoszne stworzenie o świeżej, jak kwiat, twarzyczce, szaro-srebrnych oczkach i kasztanowatych kędziorach, niby brązowy hełm o złocistych lśnieniach;

tak było piękne i łagodne to dziecko, że starzec, tkliwy i sentymentalny, pokochał je;

wyznaczył mu specjalną lekcję, żeby je nauczyć czytać; wydobył książki z obrazkami, żeby mu dać rozrywkę, i cieszył się, widząc, jak zdumione oczy dziecka wpatrywały się w niego, jak gdyby pragnęły poprzez źrenice starca chwycić tok opowiadania;

rodzice chłopca, wdzięczni za tyle względów, zaprosili Nauczyciela do siebie;

udał się więc z wizytą;

był jasny dzień niedzielny, ciche popołudnie świąteczne, kiedy stary Nauczyciel przybył do domu rodziców swego ucznia, najładniejszego w całej miejscowości budynku;

wewnątrz panowała atmosfera dostatku, komfortu, nawet zbytku;

ojciec dziecka był kupcem, osiadłym tu ledwie od dwóch lat, wraz z żoną i synem;

kiedy don Faust przybył, zastał tylko matkę;

wróciła właśnie z ogrodu, niosąc olbrzymią naręcz świeżych róż, róż dzikich, tak wielkich i bajecznie kolorowych, jak gdyby je namalował jakiś bujny i romantyczny artysta dla ofiarowania fantastycznej księżniczce;

ubrana była białą, z prostotą nie pozbawioną elegancji, a gałązka bzu, przypięta z boku ożywiała łagodnym tonem posagową monotonię całości;

delikatna, jak pastel, odznaczała się ową bezradnością dziecięcą, jaką Giorgione nadawał swym postaciom; tchnęła jakimś szczególnym dźwiękiem, ukrytą poezją, właściwą niektórym kobietom, lecz niepodobna było określić jej istoty, ani źródła;

niewinność stanowiła główny rys tej postaci kobiecej, której macierzyństwo nie ujęło ani jednego uroku; drapieżność, kładąca się nieraz ostrem piętą na urodę kobiecą, oszczędziła szlachetny profil i harmonijne linie tego ciała, pełnego idealnej eurytmii;

twarz miała owalną, drobną, jaką dawali Madonnom malarze - prekursorzy Odrodzenia; oczy jasno - szare, centkowane czarno; rzęsy długie i ciemne rzucały cień, niby listowie na nieruchomość wód; nos cienki i prosty, godny majestatycznego bóstwa; brwi czarne i gęste, niemal zrosnięte, wyginały się

mocnym łukiem nad białością czoła, wąskiego, otoczonego gąstwą kasztanowatych splotów, upiętych u góry, niby kask Belony; usta duże o wargach cienkich, raczej rozkazujących, niż zmysłowych; szyję o wysmukłości kolumnowej, jedną z tych, co rozszerzają się zwolna ku podstawie, a spopularyzowaną przez Verrocchia starszego pomiędzy malarzami Lukki; pierś, rzeczby można, dziewiczą, tak czysta była harmonja jej linii; sylwetkę wysoką i wdzięczną, — widoczną na tle jasności i drzew, — co przywodziła na pamięć trzciny jeziorne, smukłe nenufary i lilje wodne, białością obiaty strzelające z wód ku niebu;

zbliżyła się do don Fausta, wyciągając serdecznie ręce;

weszli do salonu;

ona szła przodem, krokiem krótkim, rytmicznym, kołysząc się lekko z subtelnym wdziękiem róży, le dwie muskanej łagodnym powiewem;

usiadła na sofie, wskazując don Faustowi sąsiadnie krzesło;

starzec zajął je, oczarowany, zniewolony pięknnością tej kobiety i urokiem jej oblicza, bardziej podobnego do Św. Jana Leonarda da Vinci, niż do jego Giocondy, oblicza zachwycającego, bowiem było w niem więcej młodzieńczego wdzięku Ucznia, niż zagadkowej piękności Wielkiej Zwodnicy — o nieodgadnionym uśmiechu;

don Faust doszedł do tego okresu życia, bohaterskiego i smutnego, w którym można spoglądać na

kobietę wzrokiem próżnym żądz cielesnych, doznając jedynie rozkoszy czysto estetycznej;

oderwawszy oczy od tego piękna, żywego i harmonijnego, które go pociągało i wzruszało z jakąś dziwną siłą, trudną do wytłumaczenia, przeniósł spojrzenie na ściany salonu, niby powolny mocy ślepej a fatalnej;

i nagle wzrok jego zatrzymał się nieruchomo, jak gdyby na widok rozwierającej się ściany, w której się jawi głowa umarłego;

to, co sparaliżowało go całego, nie wyłączając mózgu, był to portret kobiety, wiszący nawprost, szkic węglem, skopjowany niewątpliwie z dageryotypu;

blady, oniemiały, nie mógł oderwać oczu od obrazu;

widząc, jak bardzo przykuł on uwagę starca, młoda kobieta rzekła, jakby chcąc obudzić go z odrętwienia:

— To portret mojej matki...

Wrócony gwałtownie rzeczywistości, don Faust wyjąkał:

— Pani matki?... Czy żyje jeszcze?

— Ach, nie, panie! Umarła przed trzema laty...

I, mówiąc to, skierowała spojrzenie na wizerunek zmarłej, jak gdyby wspominając, a twarz jej pokryła się smutkiem, rzekłbyś, róża w godzinie zmierzchu;

bledszy od niej, zapytał starzec:

— Pani nie pochodzi stąd?

— Nie, jesteśmy z Villaespino...

— Villaespino — jęknął raczej, niż wyrzekł starzec, w obliczu zerwanej zasłony i widoku całej swej przeszłości.

— Zna pan Villaespino? — szepnęła kobieta, zaintrygowana wzruszeniem swego gościa.

— Tak — odparł, usiłując zapanować nad sobą i wyrwać się z pod władzy marzenia. I dodał:

— Byłem tam przed wielu laty...

Oczy jego przymknęły się, jak gdyby chcąc uwięzić zjawioną wizję.

— Więc znał pan zapewne naszą rodzinę, rodzinę Ezpeletów?...

— Ezpeletów?

— Tak, moja matka nazywała się Paula Ezpeleta.

— Paula Ezpeleta? — powtórzył starzec, ze łzami w oczach i szlochem w głosie...

— Znał ją pan? — rzekła, zdziwiona tak niespodziewanem wzruszeniem.

— Owszem — powiedział, czyniąc rozpaczliwy wysiłek w celu uspokojenia się — zdaje mi się, że ją pamiętam. Była bardzo pięknem dzieckiem, podobna do pani...

— Tak mówią wszyscy.

— I pani też nazywa się Paula, jak i matka?

— Nie, nazywam się Faustyna.

— Faustyna?

— Tak, Faustyna Solorzano. Dziwne imię, nieprawdaż?

— Tak, bardzo dziwne.

— To kaprys mojej matki.

Starzec czuł, że się dusi, brakowało mu głosu, lży cisnęły się do oczu. Ta kobieta była jego córką. Mówił mu to portret zmarłej ustami bezkrwistemi, mówiło mu jego serce i jej piękność odżywająca, a tak podobna do tamtej, którą kochał. Nie brak było niczego, ani nazwy wioski, świadka minionej sielanki, ani imienia tej, która była jego ofiarą.

— I pani urodziła się w Villaespino? Jesteś jeszcze bardzo młoda.

— Tak, tam się urodziłam, lecz opuściliśmy wioskę, kiedy byłam zupełnie małą. Teraz mam dwadzieścia siedem lat.

Don Faust czuł, że słabnie, czuł, że wybuchnie płaczem i padnie na kolana przed portretem zmarłej i przed piękną żywej, że odkryje swe serce i wyda swą tajemnicę.

Wstał i, pożegnawszy się uprzejmie, wyszedł.

Szedł do domu jak lunatyk;

a gdy już był u siebie, zamknął się szczelnie, i jak ktoś, co podnosi całun, kryjący twarz zmarłego, wysypał z niewielkiej szkatułki kwiaty, wstążki, bilety, wszystko już powiędłe, zapyłone i stare, aż natknął się na wyblakłą fotografię, odtwarzającą rysy kobiety, tej samej, której portret zobaczył właśnie wiszący na ścianie w domu swej córki: rysy Pauli Ezpelety...

padł na kolana obok łóżka, ściskając oburącz fo-

tografię, pokrywając ją pocałunkami i płacząc gorzko, jak się płacze po drogim zmarłym.

W obliczu swej zmartwychwstałej przeszłości, wobec tej fantasmagorii szczęścia, bezustannie poszukiwanej, a która teraz przybierała kształt żywy w cudzie niespodzianej realizacji, don Faust czuł, że się odradza i odzyskuje młodość;

starec sentymentalny i romantyczny, niepoprawny w tem, że dawał sprawom życiowym pozory i echa, czyniące je tylko bardziej zawiłemi, zaczął kochać swą córkę w milczeniu, tkliwie i namiętnie, wszystkimi siłami serca, rozkwitającego wówczas późnem kwitnieniem róż wątplych i niepewnych, które sztuka pielęgnuje pośród niesprzyjających warunków otoczenia;

samotność jego skończyła się nagle, jak noc, rozdarta przez różanopalcą jutrzeńkę;

już nie był sam; ta miłość fantastyczna i gwałtowna, przyszła nagle, by towarzyszyć jego bez nadziei starości, starości opuszczonej i smutnej, jak najbardziej smutne ustronia, płaczące jesienią w głębi bezlistnych gajów;

ta miłość stała mu się towarzyszką, rozjaśniając życie światłością łagodną i życzliwą;

niedolą i fatalnością serc sentymentalnych jest, że muszą spłonąć i zamrzeć w ogniu, który miał je ogrzać i ocalić;

błogosławił Losowi, co przywiódł go poprzez

ścieżki nieszczęścia i strapienia ku bramom szczęśliwości, tyle upragnionej i poszukiwanej;

i ze starczą tkliwością, kryjącą w sobie płomień i gwałtowny żar ostatniej wiązki płonącej w ognisku, oddał się miłości ku tej kobiecie i ku dziecku. z zapalem, właściwym jego naturze i uporem, towarzyszącym ostatnim namietnościami;

żył już tylko dla nich i z nimi żyć chciałby wciąż; godziny rozłąki wydawały mu się wiekami, i podczas tego przeżywał młodzieńcze niepokoje i cierpiał wskutek nich, jak zakochany;

stał się gościem częstym u nich, i codziennie, po południu, gdy ukończył lekcje, widziano go, idącego wraz z chłopcem. A potem siadał obok matki na ganeczku, podczas gdy ona haftowała, oczekując na męża, a mały bawił się w ogrodzie pod troskliwym okiem obojga. Zmierzch zapadał zwolna, spowijając ich w swe refleksy, niby w wspólne błogosławieństwo;

i starzec uśmiechał się do życia, szczęśliwy z tego zwrotu losu, co przypadł mu w udziale na schyłku dni, niby ostatni łachman, okrywający ciała nędzarza, zamierającego pośród nocy;

zwolna, tajemnie, niby syk żmij pod krzakiem, jąła szerzyć się w miasteczku cicha wieść, przechodząc z ust do ust:

— Nauczyciel zakochany jest w Faustynie...

Mówiły to kumoszki, szeptali sobie złośliwie chłopcy, powtarzali z zawiścią starzy;

i wnet wieść oblekła się w ciała, i potężniała,

i kalumnia, potworna kalumnia podniosła swój jadowity łeb grzechotnika;

wnet zahuczało od tysiąca fantazyj i tysiąca komentarzy, zagrażających czci kobiety i spokojowi tych, co byli nieświadomi niebezpieczeństwa;

wreszcie, jakiś przyjaciel zawiadomił męża, a ten, nie wierząc jeszcze niczemu, postanowił jednak położyć kres plotkom i uprosił don Fausta, ażeby zaprzestał swych wizyt;

biedny stary, zdumiony i przerażony, nie chciał wierzyć uszom;

ścisnął oburzając głowę, a potem przetarł sobie oczy, jak gdyby się budząc z jakiegoś potwornego snu;

— Cóżem ja uczynił? — zapytywał sam siebie bezustannie.

Unicestwiony, oszołomiony, niby od ciosu maczugi, w obliczu tego postanowienia, które zamykało przed nim brutalnie bramy szczęśliwości, ledwie tylko dojrzałej, rzucając go na pastwę samotności, okrutniejszej niż dotąd, poczuł się, jak ślepiec pośród wielkiego gościńca;

i ugiął się pod brzemieniem rozpacz;

mąż Faustyny przyszedł do starca wraz z synem, który go bardzo lubił, i doznał trwogi wobec ruiny, jaką się stał ten człowiek, w krótkim czasie strawiony przez ból;

starzec tak gorzko płakał, mówiąc o samotności, w jakiej trwał, że mąż tknięty litością, pozwolił mu

wrócić do swego domu pod warunkiem, że wizyty jego będą rzadkie;

don Faust przypieczętował obietnicę pocałunkiem wdzięczności, złożonym na ręce dobroczyńcy, a wyniszczone jego oblicze jak gdyby odmieniło się ze szczęścia;

ledwie poprawiwszy się nieco, wznowił swe wizyty w domu Faustyny, jak wierny, pielgrzymujący do kaplicy Matki Boskiej, której winien jest cud swego wyzdrowienia;

wrócił tam pokorny i szczęśliwy, niby dziecko, któremu przebaczone;

pełen taktu i doskonałej szlachetności okazał się w swem postępowaniu bez zarzutu;

ale miasteczko nie dało za wygraną;

ludzie zaczęli się śmiać, szydząc z tego, co nazywano starczą miłością, i zaczęli się oburzać na te nowe wizyty, które były, ich zdaniem, złym przykładem i dowodem występnej powolności męża;

tym razem Faustyna postanowiła skończyć z złemi językami i ze starcem, którego tkliwe i namiętne spojrzenia sprawiały jej niepokój;

don Faust, usłyszawszy, że musi zaniechać wizyt, zachwiał się, jak gdyby otrzymawszy pchnięcie w samo serce;

chciał się tłumaczyć, usprawiedliwić: zabrakło mu głosu;

przez jedną chwilę zdawało się, że wypowie wszystko, że zawoła głosem przeraźliwym:

— Jestem twoim ojcem! Jestem twoim ojcem!

Lecz... ktoby mu uwierzył?

Zresztą, czy miał prawo bezczęścić swoją córkę, wyjawiając tajemnicę jej matki wobec męża, który nie wiedział o niczem?

Nie, tego nie uczyni, choćby nawet miał umrzeć...

Chciał płakać, błagać, zaklinać, aby go nie wypędzano, aby mu nie odbierano słońca i życia, jemu, staremu i nieszczęśliwemu, jak pies bezdomny, co zdycha na ulicy;

nie mogąc zapanować nad sobą, pijany bólem i żalością, padł przed Faustyną na kolana, chwytając ją za rękę;

ona, pełna oburzenia, odtrąciła starca;

w owej właśnie chwili wszedł mąż;

i widząc co się dzieje, stracił zimną krew: przyskoczywszy do starca, wymierzył mu policzek, poczem wlokąc po ziemi, wyrzucił na ulicę wśród krzyków i śmiechów sąsiadów, zgromadzonych we drzwiach i oknach;

nazajutrz ławy szkolne były puste: nikt nie posłał swych dzieci na lekcje Nauczyciela, który wywołał skandal, próbując uwieść zamężną kobietę;

wokół niego utworzyła się pustka, jak dokoła trędowatego;

myślał o wyjeździe, lecz nie stało mu siły, aby się oddalić od swej jedynej miłości — od córki;

czyż znalezienie jej nie było marzeniem jego życia?

a teraz, gdy ją odnalazł, miałże odejść i pograć się w samotności?...

piisał list po liście; zwrócono mu je wszystkie nie-
odpieczętowane;

wówczas jał błdzić w dzień i w nocy dokoła do-
mu, z którego go wyrzucono, domu niegościnnego,
niemego i wrogiego, zamkniętego dlań, niby grobo-
wiec, co zawarł jego żywe serce;

wskutek skargi męża, policja usunęła starca,
grożąc mu wysiedleniem z miasteczka, jeśli powróci
raz jeszcze do tego domu;

cierpienie jego nie wzruszało nikogo;

jedni się śmieli, inni się oburzali;

on sam był przedmiotem szyderstwa lub znie-
wagi;

ci sami chłopcy, którzy byli jego uczniami, ob-
rzucali swego nauczyciela kamieniami i witali gwiz-
daniem, kiedy widzieli, że błdzi dokoła domu Fau-
styny;

któregoś dnia starzec spostrzegł jej syna;

zbliżył się do dziecka i zawołał je, a potem jał
głaskać i pieścić;

pragnął chwycić chłopca w ramiona, całować
i pytać o matkę, co mówiła, czem była zajęta, co o
nim myślała;

poszli razem aż dotarli do gaiku, na skraju pola,
tuż nad brzegiem strumienia, gdzie wiatr szemrał cu-
downe melodje;

cała przyroda była jednym poematem złota
i purpury, budzącym tkliwość duchową w starcu, wie-
cznym marzycielu i romantyku;

posadził dziecko na pachnących mchach, a sam

ukłękłszy przy nim, objął je i całował, tkliwie, po oj-
cowsku, jak się całuje chore dziecko;

nagle blisko nich padł kamień, i rozległy się
okrzyki mieszkańców, którzy, śledząc ich, szli opodal:

— Stary nędzniku!...

— Zwyródniały starcze!...

— Bezwstydniku!...

Wyrwali mu dziecko, na które, zdaniem ich, dy-
bał z całą przewrotnością.

Nie mogąc zbeczcześć matki, chciał skazić
chłopca;

tak mówił tłum;

i, rzuciwszy się na don Fausta, zadawali mu
brutalne ciosy, miotając w twarz najgorsze obelgi;

wrócił do wioski, otoczony tłuszczą, złowrogo
wyjąca, w podartym surducie i rozwiązanym krawa-
cie, którym chciano go udusić;

zamknięto go gwałtem w jakieś pustej szopie
i tam trzymano przez dwa dni;

nikt nie zlitował się nad nim, nikt nie podał mu
kęsa chleba, ni kropli wody;

karmił się jeno łzami i swą udreką; spał na go-
łej ziemi, mając za wezgłowie jeno — rozpacz;

wypuszczono go wreszcie, aby wygnać precz, nie
pozwalając zabrać ani sukien, ani książek;

a zapadał już mrok;

we drzwiach i oknach stojący mieszkańcy towa-
rzyszyli tej scenie szyderstwem i obelgą;

tłum napastliwy deptał mu po piętach, krzycząc:

— Bezwstydniku!...

— Nędzny starczel...

— Degeneracie!...

— Uśmiercić go! Uśmiercić!...

Wówczas zatrzymał się na chwilę;

zwrócił twarz ku swym prześladowcom i chciał coś powiedzieć, gdy posypał się nań grad kamieni;

jeden z nich uderzył go tak mocno, że zalany krwią starzec padł na ziemię z rozbitą głową;

widzą go w tym stanie, tłum zatrzymał się, zdjęty strachem, i cofnął się pośpiesznie;

starzec leżał tak długo bez czucia, ociekając krwią;

nikt nie zjawił się z pomocą;

świeży powiew wieczorny ożywił wreszcie ranego;

don Faust podniósł się z trudem, próbował iść, wyciągnawszy przed się ręce, jak gdyby chciał rozzerwać mrok, który go ogarniał coraz bardziej;

pragnął zobaczyć miejsce, gdzie zostawił swoje serce, ale już nic nie widział, nic nie słyszał.

— Moja córka... moja córka... — bełkotały niesłyszalnie wargi;

podniósł ręce w górę i — padł na ziemię;

oczy zasnuła mu gęsta mgła, wszystkie szmery ziemi ucichły w jego uszach, a ze zranionej głowy wypłynęły ostatnie krople krwi;

trwał nieruchomo, z szeroko rozwartymi ustami, jak gdyby żądając sprawiedliwości od nieba, błyszczącego gwiazdami, niby pierś kurtyzany, strojna w brylanty;

i oddał ducha;

samotnie, jak żył, i — jak winien był umrzeć.

LADUNEK.

RUBEN DARIO (1867 — 1916). — wybitny poeta, beletrysta i krytyk nikaraguański, którego śmiałość i nowacyj poetyckich i oryginalny styl wywarły duży wpływ na pisarzy poł. - amerykańskich.

Napisał: „*Prosas profanas*”; „*Cantos de vida y Esperanza*” („*Pieśni życia i nadziei*”); „*Tierras Solares*” („*Słoneczne krainy*”); „*Parislana*” etc.

Tam, daleko, na linji, rzekłbyś, poprowadzonej niebieskim ołówkiem, dzielącej wody od nieba, zapadło słońce w otoczu złocistego pyłu i wiru iskier purpurowych, niby krąg rozżarzonego żelaza. Spokój ogarnął już molo celne. Strażnicy przechadzali się tam i sam, nacisnąwszy na oczy czapki, rzucając tu i owdzie spojrzenia. Znieruchomiło olbrzymie ramię dźwigu, wyrobnicy kierowali się do swych izb. Woda szemrała pod pomostem, a chłodny i słony wiatr, dmący z morza w chwili, gdy zapada noc, kołysał jednostajnym ruchem sąsiednie łodzie.

Rozeszli się już wszyscy przewoźnicy, tylko stary wuj Łukasz, który zrana skaleczył sobie nogę, ładując na taczki jakąś beczkę, i przez cały pracował utykając, siedział na kamieniu i z fajką w zębach spoglądał smutnie na morze.

— Hej, wuju Łukaszu! Odpoczywacie?

— Tak, niby, panie.

I wszcząłem gawędę, luźną i swobodną gawędę, jaką lubię toczyć z dzielnymi robotnikami, oddanymi tegiej pracy, co to, dając zdrowie i siłę mięśni, żywi się jeno owocem strączków i wrzącą krwią winnicy.

Lubiłem serdecznie tego szorstkiego starca i słuchałem z zainteresowaniem jego opowiadań, niewymyślnych, ot, człowieka prostego, lecz szczerego serca. Ach, czy służył wojskowo? Czy jako chłopiec był żołnierzem Balnesa! I czy spotkał się z oporem, chcąc iść z bronią aż do Miraflores! Tak, jest żonaty, i miał syna, i...

W tem miejscu wuj Łukasz mówi

— Tak, panie. Już dwa lata, jak mu się zmarło!

Oczy jego, małe i błyszczące pod brwią szarą, krzaczastą, zwilgotniały.

— Jak to się stało? Podczas pracy dla nas, abyśmy mieli co jeść: moja żona, malcy i ja, com wówczas był chory.

I opowiedział mi wszystko, w zapadającym zmroku, podczas gdy mgła kładła się na wodę, a w mieście zaczynały płonąć światła. Siedział na kamieniu i, zatknąwszy za ucho czarną swą fajkę, wyciągnął i skrzyżował chude i żylaste nogi, okryte zniszczonemi spodniami, zawiniętymi do kostek.

Chłopiec był bardzo rzetelny i pracowity. Chciał umieścić go w szkole, gdy podrośnie. Ale biedacy nie powinni uczyć się czytać, kiedy w izdebce płacze się z głodu!

Wuj Łukasz był żonaty, miał dużo dzieci.

Żona jego dźwigała przekleństwo biedaków: płodność. Było więc wiele gąb, wołających o chleb wiele ciał, drżących z zimna i tarzających się w brudzie. Należało zdobyć dla nich jadło, znaleźć jakieś łachmany, a w tym celu — trzeba było pracować jak wół, nie znając wytchnienia.

Gdy syn podrośł, zaczął pomagać ojcu. Sąsiad, kował, chciał go nauczyć swego rzemiosła. Ale że był wtedy tak bardzo słaby, niemal skóra i kości, a przy miechu musiał ciężko pracować, więc zachorował i umieszczono go w przytułku. Ach, był bardzo chory! Ale nie umarł, nie! Przebywał w tem skupisku ludzkim, wśród czterech ścian starych, zniszczonych i plugawych, w tym smutnym rynsztoku, pełnym upadłych kobiet, cuchnącem o każdej porze, skapo oświetlonym w nocy, gdzie się rozlegają pośród harmidru dźwięki harmonji, i hałasy marynarzy pijanych do nieprzytomności i tupiących, jak opętańcy. Tak! Pośród tego zepsucia, w zamęcie uciech szelmowskich żył chłopiec — i wkrótce odzyskał zdrowie.

Miał wtedy piętnaście lat.

Za cenę tysiąca niedostatków wujowi Łukaszowi udało się nabyć łódź. Został rybakiem.

O świecie wypływał wraz z swym chłopakiem, zabierając przybory rybackie. Jeden z nich wiosłował, drugi na wędkę zakładał przynętę. Wracali na brzeg, pełni nadziei, że sprzedadzą połów. Dął świeży powiew, a oni, otoczeni siną mgiełką, śpiewali coś

melancholijnie półgłosem, podniósłszy wiosła, ociekające pianą.

Jeżeli sprzedaż się powiodła, wyjeżdżali powtórnie po południu.

Któregoś dnia zimowego zerwała się burza. Ojciec i syn znosili w małej łódce wściekłość fali i wiatru. Trudno było przybić do lądu. Wszystkie przybory poszły do wody, i już myśleli, że trzeba będzie dać „skórę”. Walczyli rozpaczliwie, żeby się dostać na brzeg. Byli już blisko, gdy wtem jakiś przekłety bałwan cisnął ich na skałę: z łódki zostały drzazgi. Oni wyszli jedynie z kontuzją. Bogu dzięki, jak mówił wuj Łukasz, opowiadając. Potem zostali obaj przevoźnikami.

Tak, przewoźnikami, na wielkich promach, płaskich i czarnych. Zawisali na łańcuchu, co zgrzytał, wijąc się, niby wąż żelazny. Wiosłowali stojąc, gdy jechali promem od przystani do parowca i od parowca na przystań. Krzyczeli: „Hi-i-o-o-e-ep!”, gdy spychano ciężkie ładunki, by je zaczepić o potężny szpon, co podnosi je, kołyszając niby wahadło. Tak, przewoźnikami! Stary i młody, ojciec i syn, obaj wysileni, obaj w pogoni za dziennym zarobkiem dla siebie i — dla rodziny.

Co rano szli na robotę, odziani w stare ubrania, przepasawszy się kolorowym sznurem i stukając głośno ciężkimi trzewikami, które zzuwali przy pracy i kładli gdzieś w kącie promu.

Zaczynał się ruch, ładowanie i wyładowywanie. Ojciec był pełen troskliwości: — „Chłopcze, skręcisz

sobie kark! Uderzy cię łańcuch! Przygnieciesz sobie nogę! — I uczył, zaprawiał, kierował synem, na swój sposób, szorstkimi słowami starego robotnika i kochał tego ojca.

Aż pewnego dnia wuj Łukasz nie mógł się ruszyć z łóżka, przygwożdżony reumatyzmem, który mu świdrował kości i rozpalał stawy.

Och, ile musiał kupować lekarstw i pokarmów!

— Synu, do pracy, po pieniądze. Dzisiaj — sobota!

I syn biegł sam, nawet bez śniadania, do codziennego kieratu.

Był właśnie piękny dzień, jasny od złotego słońca.

Na przystani krążyły wózki po szynach, pracowały bloki, dźwigały łańcuchy. Panował wielki zgiełk gorączkowej pracy, rozlegały się odgłosy metaliczne, a wiatr gwizdał pośród lasu rej i masztów zgromadzonych słaćków.

Wraz z innymi przewoźnikami pracował też gorączkowo i syn wuja Łukasza, pośpiesznie wyładowując. Należało wypróżnić barękę, pełną juków. Systematycznie zniżał się ciężki łańcuch, zakończony hakiem. Chłopcy obwiązywali ładunki złożonymi we dwoje linami, zaczepiali na hak, poczem ciężary szły do góry, niby ryba na wędce, albo ołów przy sondzie, jużto nieruchomo, jużto kołyszając się w próżni z boku na bok, jak serce dzwonu.

Fala poruszała miarowo statek, napelniony towarami, które tworzyły jak gdyby piramidę. Ale

jedna zwłaszcza paka, szczególnie wielka, leżała na samem dnie barki, — tak wielka, że stojący człowiek wydawał się wobec niej, małą figurką.

Jak te wszystkie importowane bele, okuta była w żelazne obrycze, a pośród linii i czarnych na niej trójkątów widniały jakieś litery, niby ślepia — jak mówił wuj Łukasz.

Pozostał ten ostatni ładunek.

— Idzie już potwór! — rzekł jeden z ludzi.

— Brzuchacz — dodał inny.

Syn wuja Łukasza, któremu pilno było kończyć, przygotowywał się już do pójścia.

Zniżył się łańcuch, przywiązano ostatnią belę, sprawdzono, czy była pewna, i gdy krzyknęli: „Jazda!” — łańcuch zgrzytając, szarpnął ciężką masę.

Przewoźnicy patrzyli, jak wznosił się ładunek i kierowali się już na brzeg, gdy nagle ujrzeli rzecz straszną. Bela, olbrzymia bela zerwała się z haka i spadła na syna wuja Łukasza.

Tego dnia w izbie Łukaszowej nie było leków ani chleba, jeno zeszpecony trup chłopca, którego reumatyk obejmował z płaczem pośród krzyków matki i dzieci, gdy ciało zabierano na cmentarz.





BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA
W CHEŁMIE

CZYTELNIA

GHI
MIL

82-11-9